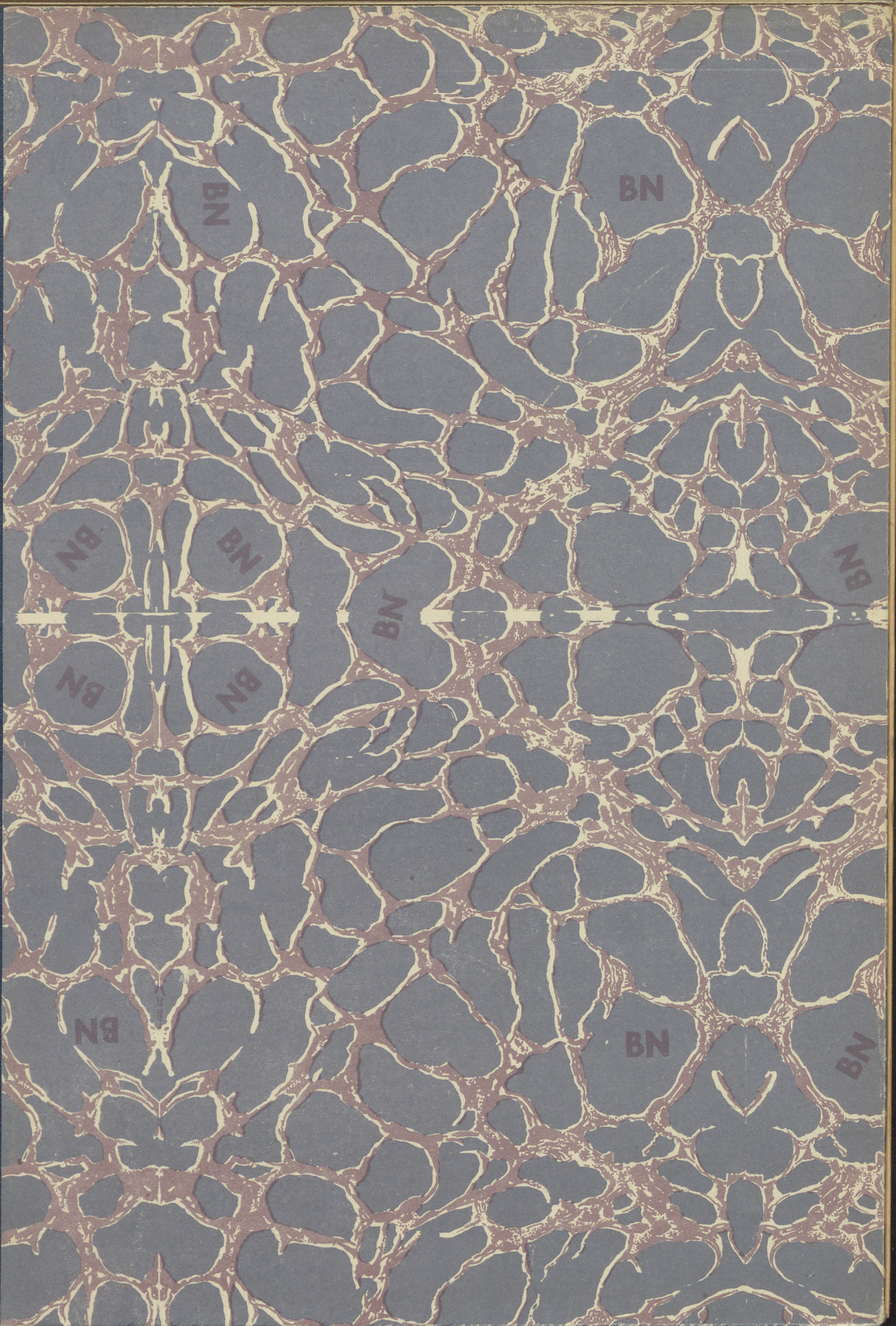


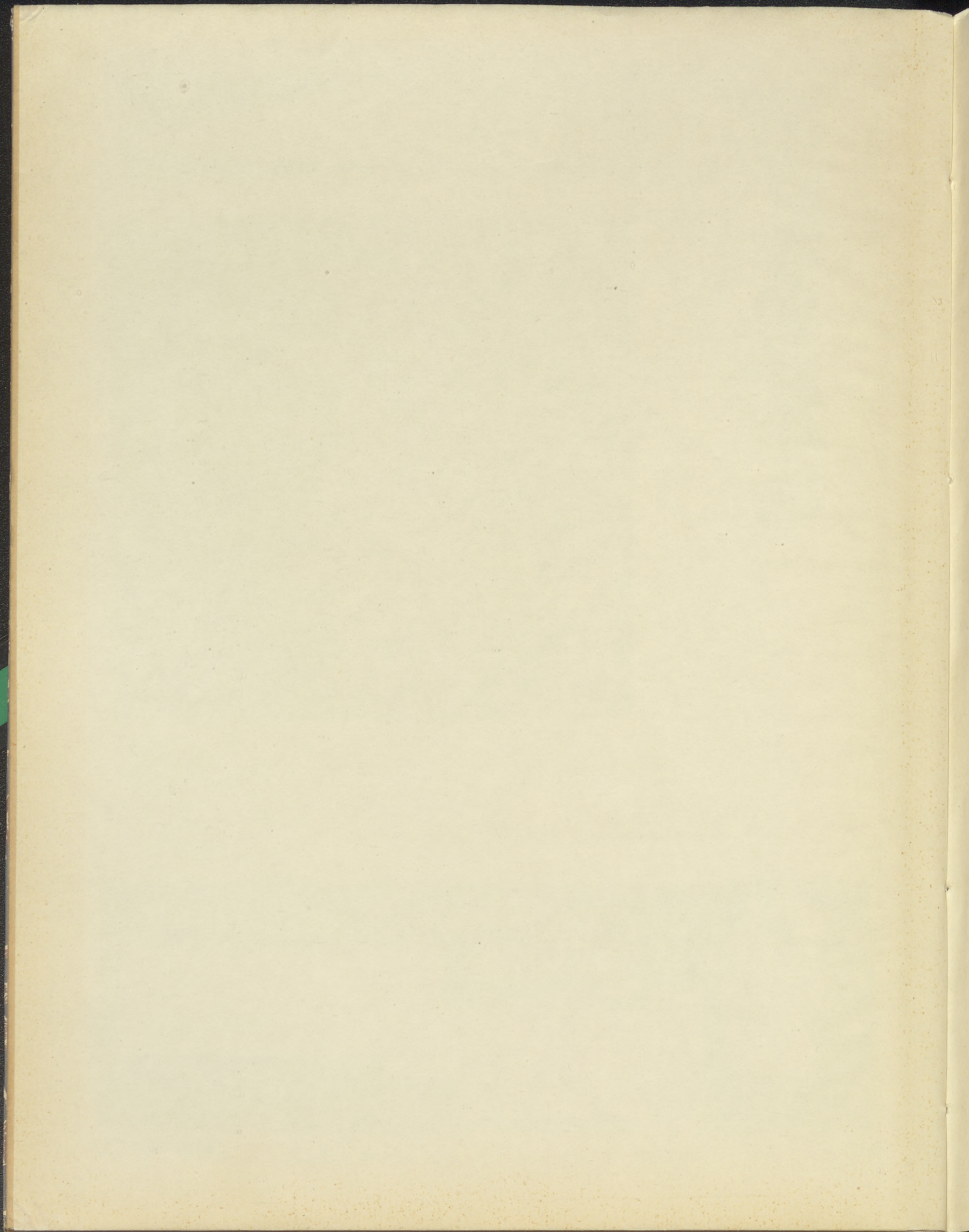
616

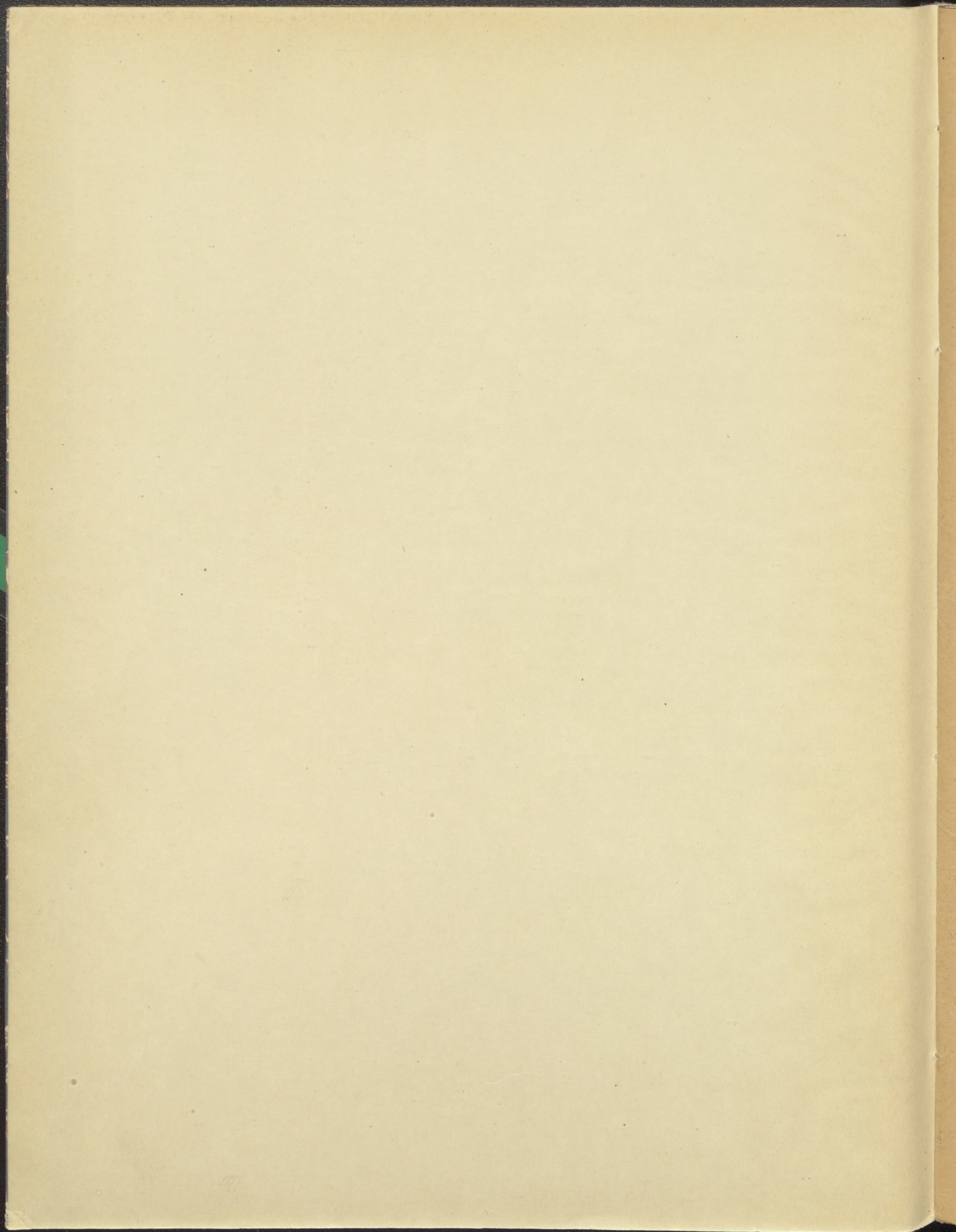
623405





This page is blank and contains no text.





Nr. 16.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Skradziony testament





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Skradziony testament

Zbrodnia w kancelarii notariusza

— O czym myślisz, mistrzu? — zapytał Tom Wills słynnego detektywa. — Mam wrażenie, że przeczytałeś coś bardzo interesującego w dzienniku, który przeglądasz. Czy znów jaką ciekawą historię, którą wartoby się zająć?

Harry Dickson odłożył gazetę.

— Mylisz się, mój chłopcze, — zwróciłem tylko twagę na nekrolog, który nasunął mi wspomnienia z przeszłości.

— Czy był to ktoś bliski, mistrzu? — zaniepokoił się Tom.

— Nie, wcale nie...

— A mimo to, śmierć ta zrobiła na tobie wrażenie...

To prawda. Był to człowiek, z którym zetknęłem się przez przypadek, a nie znam nic o tym człowieku, którego życie obfitowało w podobną ilość przygód.

Tom Wills wziął do ręki gazetę i utkwilił pytająco wzrok w zamyślanej twarzy detektywa.

Słynny detektyw znał dobrze swego ucznia i z oczu jego czytał, jak z otwartej książki. Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Ten człowiek był handlarzem niewolników!

— Handlarzem niewolników? — powtórzył zdumiony Tom. — Przecież ten handel jest wszędzie za broniony...

— Porzucił on ten zawód już od dwunastu lat a zresztą, nie ma w tym wszystkim nic nadzwyczajnego, gdyż do tej pory jeszcze w głębi Afryki i w Timbuntu odbywają się publiczne targi niewolników.

Poznałem tego człowieka w związku z pewną przysługą, którą mu przypadkowo wyświadczyłem. Z wdzięczności opowiedział mi historię swego życia. Dziś już nie żyje...

— Ale, co to?... — zawołał detektyw, — zdaje się, że ktoś pragnie złożyć nam wizytę.

Istotnie, ktoś zadzwonił, a Tom pobiegł do drzwi, aby je otworzyć.

Do korytarza wszedł wysoki mężczyzna, na którego twarzy malowała się troska i podniecenie.

— Jestem Obrien, notariusz — oświadczył ochryplym głosem. — Proszę mnie natychmiast za-

anonsować Mr. Dicksonowi! Chodzi o sprawę wielkiej wagi.

Po chwili tajemniczy gość znalazł się przed obliczem detektywa.

Ten młody człowiek wymienił panu zapewne moje nazwisko. Przychodzę do pana, mr. Dickson, w sprawie, od której uzależniony jest mój honor i egzystencja. Błagam pana o pomoc.

Harry Dickson spoglądał przez chwilę na przybyłego z wielką uwagą, poczym odezwał się:

— Notariusz Obrien... Nazwisko to słyszałem z ust starego Firmont, handlarza niewolników.

— Firmont! — zawołał przybyły. Pan mówi o Firmont? Przecież ja...

— ...Przyszedłem tu w tej sprawie... — dokończył uśmiechając się detektyw:

Notariusz przyglądał się Dicksonowi z nieukrywanym podziwem.

— To nadzwyczajne!... wyjął. — Mówiono mi wiele o pańskiej intuicji, ale czy pozwoli mi pan wystawić ją na próbę?...

— Jeżeli to panu sprawia przyjemność...

Notariusz zastanawiał się przez chwilę.

— Mówi pan, Mr. Dickson, że znał pan starego Firmonta?

— Tak jest. Widziałem go wprawdzie tylko raz jeden i to przed wielu laty, ale poznałem go dobrze.

— A więc proszę mi powiedzieć, w jakim celu tu przyszedłem!

Harry Dickson spojrzał na swego rozmówcę i odparł pewnym głosem:

— Przybył pan do mnie, aby zapytać o radę w sprawie testamentu handlarza niewolników.

Obrien otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Na Jowisza! Pan jest fenomenalny!

— Zdaje się, że nie myślę się, że testament ten skradziono ubiegłej nocy. Z gazet dowiedziałem się, że Firmont zmarł. Ale pana nie interesuje jego osoba, tylko dokument z jego ostatnią wolą. Zdenerwowanie pana dowiodło, że musiało się zdarzyć coś złego. Powiem panu więcej: kradzież nie odbyła się bez gwałtu. Zapewne powierzył pan pieczęć nad testamentem swemu zaufanemu urzędnikowi, na którego ktoś napadł i okradł go.

— Boże! — zawołał Obrien. — Czy pan jest jasnowidzem?

— Nie, — odparł detektyw. — Ale plama krwi na rękawie pańskiej marynarki wyjaśniła mi tę zagadkę. Panu nic się nie stało. Ta krew należy do tego, którego trzeba było obezwiać, by zaćwiczyć dokumentem.

Notariusz oniemiał. Ze zdumieniem opadł na krzesło.

— Zgadł pan! Mr. Firmont powierzył mi swój testament. Zamknąłem go w kasie. Wczoraj rano zjawił się u mnie jeden z krewnych zmarłego, oznajmił o śmierci Mr. Firmonta i prosił, abym pilnował testamentu. Ale... czy pan słucha tego, co mówię?... — przerwał notariusz widząc, że detektyw zapatrzył się gdzieś, w przestrzeń...

— Nigdy jeszcze nie słuchałem z większą uwagą — odparł Dickson. — Proszę mówić dalej.

— Krewny ten dodał jeszcze, że nieboszczyk po zostawił po sobie wielkie bogactwa, przeważnie w złocie i klejnotach. Nikt jednak nie wie, gdzie ten skarb jest ukryty. Podobno testament wyjaśnił ma tę tajemnicę. Oświadczył mi również, że otwarcie testamentu nastąpi dzisiejszego dnia. Ostrzegł mnie raz jeszcze, abym dobrze pilnował powierzonego mi dokumentu, gdyż wśród spadkobierców znajdują się ludzie, którzy odważą się na wszystko, aby niepodzielnie zawładnąć skarbem.

— Czy otwarcie testamentu rzeczywiście miało nastąpić dziś?

— Ależ nie! — zaprzeczył Obrien. — To właśnie wydawało mi się dziwne, gdyż nikt nie zgłosił się do mnie w tej sprawie!

— Pan zapewne odszukał i odłożył dokument na wypadek otwarcia?

— Oczywiście. Nie pamiętałem początkowo, gdzie był schowany, ale znalazłem go wreszcie w mojej kasie pod stosem innych papierów. Umieściłem go w oddzielnej przegródce i dla większej pewności poprosiłem jednego z moich aplikantów, aby pozostał na noc w kancelarii. Rano znalazłem go w łóżku, brojącego krwią.

Podczas opowiadania notariusza, Harry Dickson wkładał płaszcz.

— Muszę udać się natychmiast na miejsce. Ta sprawa prosto bawi mnie niezwykle!

Notariusz podskoczył.

— Bawi? — zawołał. — Uważam, Mr. Dickson, że użył pan zupełnie nieodpowiedniego określenia.

Detektyw uśmiechnął się.

— Proszę mi tego nie brać za złe, ale nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Ta historia sprawia mi prawdziwą satysfakcję, ale niestety, nie mogę na razie podzielić się z panem moimi spostrzeżeniami. Chodźmy już gdyż szkoda każdej chwili!

Taksówka, która czekała przed domem, zawiozła ich na miejsce. Harry Dickson szybko wbiegł na schody.

— Proszę mi wskazać pokój, w którym nocował aplikant.

— Pierwsze drzwi na prawo i z korytarza — objaśniał notariusz. — Proszę chwilę zaczekać, już otwieram.

— Nie trzeba, — zauważył detektyw. — Są otwarte.

Wszedł do środka i uważnie rozejrzał się dookoła. Złoczyńcy ostrym narzędziem wyrabali dziurę w drzwiach. Następnie wprowadzili rękę przez otwór do środka i otworzyli zamek. Aplikant spał, a klucz od kasy miał przy sobie, po czym ktoś ogłuszył go mocnym uderzeniem w głowę, z łatwością

otworzył kasę i skradł testament — myślał sobie detektyw, po czym zapytał:

— Czy skradziono panu jakieś kosztowności lub pieniądze?

— Nic, absolutnie nic. Zresztą w kasie znajdowała się bardzo nieznaczna suma. Bandyci szukali widocznie tylko testamentu starego Firmonta.

— Nie wątpię o tym — odparł detektyw. — A gdzie jest ten młody człowiek?

— Kazałem go odwieźć do domu i powierzyć opiece lekarskiej.

— Czy rana jest niebezpieczna?

— Powiedziałem już panu, że Jamesson, tak brzmi jego nazwisko, dosłownie nurzał się we własnej krwi.

Detektyw podniósł z ziemi kawałek drzewa oderwanego od drzwi i oglądał go uważnie.

— Od jak dawna pracuje u pana ten Jamesson?

— Od roku. To bardzo zdolny i inteligentny młodzieniec. Zdaje się, że kieruje pan podejrzania w jego kierunku? Otóż mogę pana zapewnić, że jest to bardzo uczciwy i przyzwoity człowiek. Ale... co pan robi?

Harry Dickson schylił się i badał otwór w drzwiach...

— Muszę stwierdzić, gdzie jest wewnętrzna stropna tego wyrąbanego kawałka.

— Czy to panu pomoże do wykrycia złoczyńców?

— Proszę o chwilę cierpliwości. A teraz chciałbym obejrzeć sobie kasę.

— Czy Jamesson zawsze miał klucz od kasy przy sobie?

— Nie. Powierzyłem mu go tylko na dzisiejszą noc. Byłem pewny, że oddaje go w dobre ręce.

— Pana zaufanie przekracza granice rozsądku, — zauważył ironicznie detektyw.

— Podkreślam raz jeszcze, że Jamesson zasłużył na nie w zupełności.

— To był w takim razie białym krukiem — rzekł detektyw, wyciągając klucz z zamku i podnosząc go do światła.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł po chwili — czy ma pan Murzyna w swoim biurze?

— Murzyna? Skądże znowu! Co też panu na myśl przyszło!

— Pytałem pana o to, aby upewnić się co do pewnego przypuszczenia. Może zechce pan spojrzeć na ten klucz... Czy widzi pan ten gruby, czarny, skrecony włos?

— Rzeczywiście, wygląda to na włos Murzyna, — odparł notariusz. — Jakie wnioski pan z tego wyciąga?

— Bardzo proste. Napastnikiem jest z pewnością Murzyn! A teraz spieszmy do aplikanta. Jeżeli jego rany nie są zbyt ciężkie, udzieli on nam potrzebnych wyjaśnień.

W kilka minut później znaleźli się w mieszkaniu urzędnika.

— Gdzież jest Mr. Jamesson? Jestem jego szefem i chciałbym się z nim natychmiast rozmówić.

— Mr. Jamesson — oświadczyła gospodyni — wyszedł wczoraj wieczorem do swego biura i miał tam spędzić noc.

— Ależ ja go odesłałem do domu dziś rano — oświadczył zdumiony notariusz.

— Na miłość boską! — krzyknęła kobieta. — Pewnie zdarzyło mu się nieszczęście! Powiedział mi wczoraj, że od kilku dni ktoś go śledzi.

— Zamordowano go, — szepnął Obrien, — i to ja...

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka.

— Może to on! — zawołała kobieta biegnąc do drzwi.

W korytarzu słychać było męski głos.

— Czy tutaj mieszka niejaki Jamesson?

— Mieszkał jeszcze wczoraj, — odparła gospodyni.

— Zgadza się. Przed kwadransem wydobył się z Tamizy to ubranie. Jest zakrwawione. W kieszeni znaleźliśmy portmonetkę, a w niej bilet wizytowy z nazwiskiem „Johna Jamessona“.

— Na Jowisza! — krzyknął notariusz. — Poznaję to ubranie.

— Kogoż widzę? — zawołał przybyły. — Harry Dickson we własnej osobie?...

— Jak się masz, Wilson! Czy nie nie wiedziałeś o kradzieży, którą popełniono u pana Obrien?

— Ależ oczywiście. Poinformowano nas o wszystkim z samego rana, ale nie wymieniono nazwiska aplikanta. Biedny Jamesson! Zdaje mi się, że wpadłem na ślad złoczyńców.

— To świetnie! Życzę powodzenia! Możemy już odejść Mr. Obrien, nic tutaj nie da się zrobić.

Mimo, że policja londyńska zajęła się tą sprawą, ja także poświęcę jej nieco uwagi. Interesuje mnie ona niezmiernie...

Zatruta strzała

— To prawdziwy cud, ten aparat do mikrografii — oświadczył Dickson. — Jakież nieocenione usługi nam oddaje!

Mówiąc to, detektyw wziął do reki kliszę i podniósł ją pod światło.

— Doskonale. Ciałka krwi bardzo wyraźnie zaznaczone. Wielkie różowe kółka z wklęsłością pośrodku. To krew gołębia.

Z sąsiedniego pokoju nadszedł Tom, który był zajęty wywoływaniem zdjęć. W rękach trzymał kilka klisz.

— Wszystkie są udane — zawołał. — To nadzwyczajne jak bardzo różnią się między sobą ciała krwi najrozmaitszych ssaków! Zwykły śmiertelnik, który nie zna cudów mikrografii nie ma zapewne pojęcia o tym, jak bardzo charakterystyczne formy przybierają krwinki zupełnie dla gołego oka niewidoczne.

— Oczywiście — potwierdził detektyw. — Jest to dowiedzione naukowo, że kształty ciałek krwi są różne, zależne od gatunku.

— Oto klisza, o którą prosiłeś, mistrzu.

— Przyjrzyjmy jej się dokładnie. Jest to zdjęcie krwi, którą tam pobrałem. Czy na pewno nie popełniłeś omyłki, Tomie?

— Bądź spokojny, mistrzu. Tę kliszę wywołałem na końcu. Brzegi jeszcze są mokre.

Detektyw zbliżył się do okna.

— Tę krew zebrałem w biurze notariusza Obrien. Jest to ostatni ślad po tym nieszczęśliwym aplikancie. Trzeba porównać tę kliszę z innymi.

— To niemożliwe! — zawołał nagle Tom Wills.

— O czym myślisz? — zapytał z niecierpliwością detektyw.

— Uważam, że ta krew nie może należeć do Jamessona — oświadczył Tom.

— Dlaczego? Mogę potwierdzić pod przysięgą, że zebrałem ją z łóżka, w którym ten nieszczęśliwy spędził ostatnią noc.

Przez chwilę Tom spoglądał na mistrza, zbity z tropu. Nagle twarz mu się rozjaśniła i zawołał z mocą:

— Hurra! I ja także potrafię rozwiązywać zagadki!

— A mianowicie?... — zapytał Dickson, strzepując niewidzialny pyłek z rękawa swej marynarki.

— Cała ta historia została sprytnie wymyślona! Ta krew jest krwią wieprza. Aplikant dla pozorów zrobił sobie szramę na policzku, a całe łóżko oblał krwią zwierzęcia.

— Świetnie, mój chłopcze! Żaluję bardzo, że nie zabrałem cię wczoraj ze sobą, naucełbyś się paru ciekawych rzeczy. Stwierdziłbyś, tak samo jak i ja, że Jamesson wybił otwór w drzwiach, które otworzył swym wspólnikom. Chciał upozorować wiadanie!

Tom Wills słuchał z naprężoną uwagą.

— A więc jesteś pewny, mistrzu, że testament został skradziony?

— Nie wątpię ani przez chwilę. Krewni zmarłego Firmonta dobrze wiedzieli o skarbie, który zostawił i szukają go nie od dziś. Ci bandyci domyślali się że dokładne miejsce ukrycia skarbu jest opisane w testamencie „Delegowali“ przeto zaufanego człowieka do kancelarii notariusza i spokojnie czekali na śmierć Firmonta.

Tom Wills przyglądał się swemu mistrzowi w ten sposób, jakby wiedział o tej sprawie daleko więcej.

— Domyślam się, co chcesz mi powiedzieć — oświadczył Dickson. — Myślisz zapewne, że łajdacy przyczynili się do śmierci Firmonta.

— To właśnie miałem na myśli! — zawołał podniecony młodzieniec.

— Należy ci się moje uznanie i pochwała! Chodźmy do mieszkania starego Firmonta i sprawdzimy, czy nasze podejrzenia są słuszne.

— Czy nie byłoby lepiej zarządzić pościg za złodziejami, zanim zdążą ukryć swój łup w bezpiecznym miejscu.

Detektyw wybuchnął śmiechem.

— Masz rację, Tomie... Wskaż mi szybko drogę. Młodzieniec opuścił głowę speszony.

— Proszę mi wybaczyć, Mr. Dickson. Powiedziałem to, nie zastanawiając się. Powinienem wiedzieć, że jeżeli jakaś sprawa znajduje się w granicach ludzkich możliwości, to pan pierwszy potrafi ją rozwiązać.

— Nie przesadzaj, mój drogi. Nie jestem jasnowidzem. Ale przypuszczam, że ci trzej bandyci, zawładnąwszy testamentem, odnaleźli już skarb i zwiabli z nim z Anglii. Na razie więc musimy przeprowadzić śledztwo na miejscu. Zapewniam cię, że w domu Firmonta znajdziesz wiele interesujących rzeczy. Są tam rzadkie zbiory osobliwości ze wszystkich stron świata.

W kilka godzin później Harry Dickson nacisnął dzwonek u drzwi, prowadzących do mieszkania zmarłego handlarza niewolników.

Otworzyły się natychmiast. Na progu ukazała się postać kobiety.

— Mr. Firmont nie żyje! — oświadczyła cichym głosem o cudzoziemskim akcencie i usiłowała z powrotem zamknąć drzwi. Ale Harry Dickson krzyknął:

— Zairo, nie poznajesz mnie? Byłem przyjacielem twego zmarłego pana! Drzwi znów otworzyły

się a wielkie czarne oczy spojrzały nieufnie na twarz detektywa.

— Ach! Mr... Mr...

— Harry Dickson, — dokończył detektyw z uśmiechem.

Obaj przyjaciele weszli do środka. Przed nimi stała młoda dziewczyna, najwyżej szesnastoletnia. Przyjrzaawszy się jej dokładnie, Tom Wills zauważył, że była Mulatką. Mimo to, odznaczała się wyjątkową urodą. Skóra jej była tylko nieco ciemniejsza od białej, rysy twarzy piękne i regularne czyniły ją podobną do Włoszki.

— Coś się tu zmieniło — zauważył Harry Dickson, rozglądając się dokoła.

— To prawda — odparła dziewczyna. — Krewni Mr. Firmonta zabrali stąd wszystko, co się dało.

— A ty co tu robisz?

Oczy malej wypełniły się łzami.

— Mnie nikt nie chciał zabrać. — załkała.

— Biedne dziecko — pogłaskał ją po głowie detektyw.

— A jak tu żyjesz sama?

Mulatka wskazała na ścianę obwieszoną wspianymi zdobyczami myśliwskimi i rzadkimi kaskami broni.

— Sprzedawałam parę rzeczy... Byłam taka głodna!

— A nie boisz się być sama?

— Bardzo... Zwłaszcza przed Maorim!

— Któż to jest ten Maori?

— Stary znajomy Mr. Firmonta.

— Czy często go odwiedzał?

— Kilka razy do roku.

— A kiedy tu był po raz ostatni?

— Tuż przed śmiercią mojego pana.

— Czy sprzeczali się ze sobą?

Młoda dziewczyna zastanowiła się chwilę.

— Nie.. nigdy! Ale zawsze po odejściu Maoriego Mr. Firmont był smutny i rozgoryczony.

— A od jak dawna znasz Maoriego?

— Bardzo już długo! Byłam jeszcze małym dzieckiem w mojej ojczyźnie.

— Czy jest Murzynem?

— Tak jest. Zawsze rozmawiał o Afryce z Mr. Firmontem. Ale mnie nie wolno było słuchać, wyrzucali mnie z pokoju.

— A ile czasu upłynęło między ostatnią wizytą Murzyna, a śmiercią twego pana?

— Dokładnie nie wiem... Mr. Firmont kazał mi wyjść. Kiedy wróciłam, Maori zniknął a mój stary pan leżał martwy na podłodze.

Harry Dickson zdjął strzałę ze ściany i przyglądał się jej uważnie.

— To jest broń wojowników Massai — wyjaśnił Tomowi, — Musi tu znajdować się od niedawna, gdyż nie jest wcale zakurzona.

— To prawda — przerwała Zaira. — Maori przywiózł ją nam w darze, kiedy tu był ostatnio. Bardzo często przywoził nam takie prezenty z Afryki.

— Oto prawdziwy przyjaciel! Czy mogłabyś mi opowiedzieć moja mała, w jakiej pozycji zastałaś zmarłego pana?

— To był straszny widok — odparła dziewczyna załamującym się głosem. — Głowa opadła nru na piersi, a ręce zacisnęły się tak mocno, że ludzie którzy zanieśli jego ciało do kostnicy, nie mogli ich otworzyć.

— Czy tutaj znajduje się gabinet Mr. Firmonta? — zapytał detektyw, wskazując palcem pierwsze drzwi.

— Tak, Mr. Dickson. Ale jest on zupełnie pusty. Krewni mojego pana splądrowali wszystko. Szukali testamentu. Pytali mnie, ale ja o niczym nie wiem. To jedno wiem, że według prawa angielskiego nie mogę nic dziedziczyć, ponieważ... Mr. Firmont nie poślubił mej matki według przyjętych tu zwyczajów — dokończyła dziewczyna drżącym głosem.

— Więc krewni Mr. Firmonta oskarżają cię, żeś ukryła testament?

— Tak jest, Mr. Dickson. Ale to nieprawda — zapewniała przekonywująco Mulatka.

— Wierzę ci, moje dziecko. Hallo, Tomie, popatrz na tego psa na ulicy, ledwo się wlecze taki zagłodzony. Wynieś mu kawałek chleba i spróbuj zwiabić go tutaj...

Tom pokręcił głową i zbiegł ze schodów.

— Dziwaczne pomysły miewa czasami mistrz!

Ale przywykł ślepo słuchać wszystkich rozkazów detektywa, to też, znalazłszy się na ulicy, zajął się wabieniem biednego zwierzęcia. Pokazując mu kawałek chleba doprowadził go do drzwi mieszkania. Wygłodzone psisko szło za nim z zaufaniem.

— Odsuń się — zawołał Dickson. — Nie chciałbym ciebie trafić przez omyłkę.

Tom Wills miał zaledwie czas uskoczyć w bok. Strzała ze świstem przecięła powietrze. Zwierzę zaskowyczało, skoczyło do drzwi, ale w tej samej chwili drgnęło, jak rażone prądem elektrycznym i zważyło się na ziemię.

Tom i dziewczyna przyglądali się temu ze zgrozą i zdumieniem.

— Jest właśnie tak, jak przypuszczałem! Stary Firmont nie umarł śmiercią naturalną. Ta strzała nasycona jest trucizną, zwaną „gombi“. Znają ją niektóre murzyńskie plemiona — wywołuje ona skutki, podobne do zatrucia kurarą. Maori uśmiercił nią Firmonta, pragnąc zdobyć skarb.

W międzyczasie Zaira opuściła pokój.

— Czy to prawda, że ta mała jest jego córką?

— Oczywiście. Firmont mówił mi o tym już dawno.

— W takim razie musimy przyłapać tych bandytów i oddać skarb prawowitej właścicielce! — zawołał z ogniem młodzieniec.

Harry Dickson słuchał go ze szczególnym uśmiechem, zawiązując strzałę w papier.

— Weź ten dowód rzeczowy i zanieś go Wilsonowi. Opowiedz mu o wszystkim i zażądaj nakuazu aresztowania Murzyna Maori.

— A Zaira? — zapytał Tom z niepokojem.

— Oddam ją pod opiekę naszej gospodyni. Tutaj grozi jej niebezpieczeństwo.

W tej chwili zjawiła się dziewczyna i wręczyła detektywowi pakiet listów.

— Nie wiem dokładnie, jaka one zawierają treść, ale sądzę, że najpewniejsze będą one w pana rękach. Mr. Firmont kazał mi ich dobrze pilnować. Zdaje mi się, że jest tam mowa o mojej przyszłości.

— Przejrzę to wszystko dokładnie, moje dziecko. Chodź ze mną. Otoczę cię opieką... nie będziesz się czuła samotna.

W kostnicy londyńskiej

Mrs. Crown przyjęła piękną Zairę z otwartymi ramionami.

Harry Dickson po przybyciu do domu zagłębił

się w fotelu i, zapaliwszy ulubioną fajkę, zabrał się do przeglądania listów Mulatki.

— Zadnej wskazówki, która mogłaby mnie naprowadzić na ślad ukrytego skarbu! — westchnął. — Dokumenty przydadzą się jednak na wypadek, gdyby trzeba było udowodnić, że Zaira jest prawowitą dziedziczką bogactw Firmonta. Cała ta sprawa wydaje mi się zupełnie beznadziejna!

Nagle otworzyły się gwałtownie drzwi i do pokoju wpadł zdyszany Tom Wills.

— Co się stało? — zapytał detektyw, nabijając fajkę. — Czyś znalazł już Maoriego?

Młodzieniec opadł na krzesło, wycierając chustką spocone czoło.

— Obawiam się, mistrzu, że byliśmy dotychczas na fałszywej drodze. Byliśmy przekonani, że Jameson jest współnikiem złodziei... Tymczasem przed kwadransiem wyłoniono jego trupą z Tamizy!

Harry Dickson drgnął, przez chwilę nie mógł wymówić słowa. Na jego twarzy malowała się walka sprzecznych uczuć i myśli. Jak pogodzić ten straszliwy fakt z poprzednimi spostrzeżeniami? W końcu opanował się.

— Gdzie znajdują się zwłoki aplikanta?

— W kostnicy, Mr. Dickson

— Idę tam. Ty pilnuj Zairy.

Harry Dickson przywołał taksówkę i kazał się zawieźć do prosektorium.

— Wilson! — zawołał detektyw na widok przyjaciela opuszczającego budynek. — Co ty tu robisz? Jak ci się podoba ta cała historia?

Inspektor policji skrzywił się.

— Daj mi spokój z tą sprawą.

— Czy nie uważasz, że jest interesująca?

— Zawracanie głowy co najmniej na sześć miesięcy. Mam dosyć pracy! Nie mogę sobie dać rady! Pół godziny temu przyszedł do mnie książę Norfolk ze skargą na jakichś nieponiów, którzy zniszczyli pomnik na grobie jego żony na cmentarzu Westminsterkim. W dwie minuty potem zjawił się hrabia Sussex z taką samą sprawą. Lepiej poradziłyś mi, co zrobić! Ci panowie obiecali, każdy po tysiąc funtów za znalezienie winnego!

— Nie pracuję dla pieniędzy, — zawołał Dickson, odwracając się na pięcie. Do widzenia!

— Czego pan szuka, Mr. Dickson? — zapytał jeden z posługaczy kostnicy.

— Przyszedłem obejrzeć zwłoki aplikanta Jamesona!

— Dopiero stwierdziliśmy identyczność. Ciało przeniesiono do piwnic.

— Muszę je koniecznie obejrzeć — rzekł detektyw, wsuwając hojny napiwek w rękę posługacza.

— Zaraz pana zaprowadzę. Proszę tędy. To tutaj! Czy jestem jeszcze panu potrzebny?

— Nie, Warwick. Możesz odejść.

— Nikt tutaj panu nie będzie przeszkadzał. Kiedy ukończy pan badanie, proszę nacisnąć ten dzwonek elektryczny, a natychmiast się zjawię.

Pozostawszy sam, detektyw obejrzał dokładnie głowę i szyję zmarłego.

— Jest! — szepnął. — Jest jednak głęboka szrama na policzku. To prawdopodobnie ta, która nieśczęśliwy sam sobie zrobił, chcąc upozorować zamach na swoją osobę. Na głowie jest ślad uderzenia tępym narzędziem. Musiał walczyć z przeciwnikami. Zapewne z tym Murzynem, Maori.

Dickson przeszukał skolej kieszenie ubrania zmarłego.

— Niestety nic nie ma. To jakiś inny strój... Ten stary złożono na brzegu Tamizy, aby wprowadzić w błąd policję...

Nagle Harry Dickson przerwał monolog. Jego spojrzenie zatrzymało się na szyi zmarłego. Zoczyły ją dwie wielkie, sine plamy.

— Co to może być? — szepnął. — Nieszczęśliwy został najpierw ogłuszony, a potem uduszony! Dziwne, bardzo dziwne!

Detektyw oglądał w dalszym ciągu krtań i tchawicę.

— Na Jowisza! — krzyknął. — Moznaby przypuszczać, że uduszono go aby mu przeszkodzić w połknięciu jakiegoś przedmiotu. Krtań jest zupełnie zmażdżona.

Z trudem otworzył usta nieboszczyka i oświetlił je latarką elektryczną.

— Nie omyliłem się... — wyszeptał. — Widzę wewnątrz coś białego... wygląda jak papier.

Wyjął z kieszeni pudełko z najrozmaitszymi narzędziami. Wybrał długą pincetę i wprowadziwszy ją do ust nieboszczyka, począł wydobywać zawartość. Wyciągnął pincetę powoli, z jak największą ostrożnością.

— Kawalek papieru! — zawołał podniecony detektyw.

Wyglądził zwiniętą kulkę i oświetlił papier. Pokrywały go zamazane, prawie nieczytelne litery: ...a ...a zna... e... cia... nik... ..Giacomo ...lli... wo... nie... tego...ś. Firmont.

To wszystko, co Harry Dickson zdołał odcyfrować.

— Diabelnie mało — pomyślał. Ale musiały te słowa mieć jednak wielkie znaczenie, skoro Jameson wołał połknąć papier, niż oddać go swym towarzyszom. To na pewno strzęp testamentu Firmonta ze wskazówką miejsca, w którym ukryty został skarb. Schował wilgotną karteczkę do portfela i zadzwonił.

— Proszę zwrócić uwagę lekarzom, którzy będą sekcjonować te zwłoki, aby zebrali wszystkie najmniejsze nawet kawałki papieru, jakie znajdą w przełyku i w żołądku. Proszę je potem do mnie przynieść.

Posługacz przyrzekł wykonać dokładnie polecenie.

Po powrocie do domu Dickson skierował się do laboratorium, gdzie znajdował się aparat fotograficzny. Zasunął szybko rolety. W świetle cłbrzymiej czerwonej żarówki umieścił karteczkę przed aparatem do powiększeń. Błysnęła magnezja.

Praca nie trwała długo. Po kilku minutach można już było wywołać kliszę.

Ręce detektywa drżały z emocji. Zaniósł jeszcze mokrą kliszę do światła dziennego.

— Miałem rację — pomyślał. — Teraz widzę wyraźnie słowa „Moja córka zna miejsce ukrycia skarbu. Znajduje się on pod pomnikiem dłuta Giacomo Diabelli. Przekleństwo spadnie na tego, który usiłuje go ukraść. Firmont“.

Po długim namyśle, Dickson szepnął:

— Giacomo Diabelli. Słynny rzeźbiarz nagrobków. Ale dlaczego stary Firmont mówi o „pomniku“? O ile się nie mylę, Diabelli wyrzeźbił ich bardzo dużo. Nagle umysł jego rozświetliła nowa myśl.

— Prawdopodobnie w tym czasie, kiedy handlarz niewolników redagował swój testament, istniał tylko jeden nagrobek dłuta tego rzeźbiarza!

Co za szczęście, że Zaira wie na którym znajduje się on cmentarz.

Dlaczego słowa „pomnik“, „cmentarz“ kojarzą mi twarz Wilsona?

Harry Dickson przemierzał wzdłuż i wszerz pokój. Nagle zatrzymał się.

— Ubiegłej nocy zburzono dwa marmurowe nagrobki na cmentarzu Westminsterkim. Oba z marmuru! Teraz nie wątpię, że były one dziełem Giacomo Diabelliego.

— Dlaczego Jamesson połknął kartkę? Chciał ją ukryć przed współnikami, to jasne! Skradł widocznie testament, ale nie chciał dzielić się zdobyczą. Powiedział im, że nie mógł go znaleźć, ale nie uwierzone mu. Sledzono go w dzień i w nocy. Prawdopodobnie złapano go na cmentarzu, a ponieważ nie chciał zdradzić sekretu zabito go.

Tym razem nie mogę się mylić. Wszystko jest jasne i logiczne. Dzisiejszej nocy odbędzie się decydująca próba. Obaj współnicy, Murzyn Maori i ten, który udawał przed notariuszem krewnego Firmonta, przybędą na cmentarz, aby prowadzić dalsze poszukiwania. Na szczęście, ubiegając ich, gdyż Zaira zdradzi mi miejsce ukrycia skarbu.

Dickson podniósł się z krzesła, aby pójść do pokoju Mrs. Crown, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł Tom Wills.

— Przybywasz w porę! — zawołał detektyw. — Mam dobrą wiadomość. Wpadłem na trop Murzyna. Jeszcze tej nocy dostaniemy go w nasze ręce.

— To świetnie — ucieszył się Tom. — Musimy się pospieszyć, gdyż inspektor Wilson podobno ich również wyszedł.

— Wilson? Jak to możliwe? Rozmawiałem z nim przed godziną. Oświadczył, że o niczym nie wie. Skąd masz te wiadomości?

— Telefonował do mnie przed pół godziną. Prosił, aby Zaira...

Tom przerwał nagle. Twarz detektywa była tak straszna, że Wills zbladł jak płótno.

— Zaira? — krzyknął detektyw ze wściekłością. — Gdzie ona jest? Po co telefonował Wilson?

— Prosił — odparł Tom śmiertelnie przestraszony, aby jak najszybciej posłać Zairę do centralnego biura policji New-Scotland-Yardu gdyż otrzymał rozkaz przesłuchania jej w związku ze śmiercią starego Firmonta.

— A ty? — zapytał Harry Dickson, paląc się z niecierpliwości. — Coś ty zrobił?

— Wysłałem ją na policję.

— Czy oddałeś ją bezpośrednio do rąk Wilsona?

— Nie... — jęknął Tom. — Przed brną wjazdową czekał policjant. Podeszedł do mnie i rzekł, że otrzymał rozkaz odstawienia dziewczynki do swego przełożonego. Poszedłem razem z nim. W poczekalni policjant kazał mi zatrzymać się, a sam wprowadził Zairę do jednego z biur. Po chwili wrócił i oznajmił mi, że przesłuchanie potrwa długo, że pan, Mr. Dickson wzywa mnie do domu, przez telefon, a Mr. Wilson osobiście odprowadzi Zairę na Bakestreet. Usłuchałem natychmiast i jestem tutaj.

Harry Dickson opadł na krzesło.

— Tak blisko celu! I być pobitym na całej linii.

— Pan myśli, że dziewczynkę uprowadzono?

— A ty wątpisz jeszcze w to! — wrzasnął wściekły detektyw.

— Czy mogłem przewidzieć, że policjant był przebranyw przestępcą?

— Masz rację! To moja wina! Powiniennem był

ŚMIECH TO ZDROWIE!

Salwy śmiechu wywołują arcyucieszne przygody najznakomitszych komików ekranu.
W ilustrowanym albumie

PAT I PATACHON

SERIA VII.

Wybór anegdot i dowcipów
Do nabycia wszędzie CENA 30 GR.

o tym pamiętać. Przecież to było jasne, że wykorzystają pierwszą nadarzącą się sposobność.

— Nie mogę w to uwierzyć! — zawołał Tom.

— Zatem przekonaj się. Zatelefonuj do Wilsona. Jest teraz na pewno w swoim biurze.

W chwilę później Tom Wills wrócił z sąsiedniego pokoju. Harry Dickson ujrzał jego zmienioną twarz.

— Co powiedział inspektor?

— Niestety, o niczym nie wie. Prosiłem aby zapytał kolegów. Odpowiedziano mu, że był jakiś policjant z dziewczynką i wyszedł razem z nią.

— Jak on wyglądał?

— Był to mężczyzna w wieku lat 30, o sympatycznej twarzy, jasnej czuprynie i...

— ...nos miał krzywy i mocno czerwony, — dokończył Dickson.

— Pan go zna?

— Niestety nie. Ale opis zgadza się z opisem człowieka, który zgłosił się do notariusza w sprawie testamentu. Jestem przekonany, że to jedna i ta sama osoba. Nasi przeciwnicy mają teraz mocny atut w ręce. Wydobędą z Zairy niezbędne wskazówki i... koniec. Będzie mogła pożegnać się ze spadkiem na zawsze!

Tom Wills włożył płaszcz.

— Dokąd idziesz? — zapytał zdumiony detektyw.

— Na cmentarz Westminsterki. Te draby muszą wpaść w moje ręce!

— Jeżeli to cię ma uspokoić, to idź!

— Biedny chłopiec! — pomyślał detektyw. — Ma zmartwienie. Jeżeli będzie miał szczęście, może uda mu się swój błąd naprawić.

Murzyńscy śpiewacy

Ciemna noc i burzliwa pogoda sprzyja niezwykłym wyprawom. Harry Dickson i Tom Wills znajdują się właśnie na cmentarzu Westminsterkim. Detektyw bada sytuację, jak wytrawny taktyk. Znajduje wielki rodzinny grobowiec blisko muru cmentarnego i tam postanawia się ukryć. Obaj przyjaciele dostają się do środka. Poprzez żelazną kratę mają przed sobą duże pole widzenia i mogą swobodnie obserwować, co się dzieje na zewnątrz.

— Te lajdaki muszą przejść tędy — oświadczył detektyw. — Mam wrażenie, że nie można było znaleźć lepszego miejsca.

— Ile naliczyłeś nagrobków dłuta Giacomo Diabelli?

— Czterdzieści pięć!

— Będą mieli ciężką robotę. Chyba, że Zaira zdradziła im tajemnicę...

Coraz bardziej ciemniało.

Nagle Tom Wills gwałtownie drgnął.

— Światło — wyszeptał. — Oświeca groby... to zbliża się... to oddala... znikło!

Harry Dickson przycisnął czoło do kraty.

— Szukają skarbu! — szepnął. — Nie znaleźli widocznie prawdziwego pomnika. Przy świetle latarki odczytują nazwiska rzeźbiarza.

W tym momencie w dali ukazała się znów smuga światła. Tym razem zatrzymała się na jednym miejscu.

— Znaleźli nowy nagrobek Diabellego — rzekł Dickson.

Do uszu detektywów dobiegł głuchy odgłos.

— Zaczynają burzyć! Tomie, weź rewolwer w garść i na przód! Wprost w kierunku światła.

Harry Dickson biegł tak szybko, jak tylko pozwalały na to ciemności i niewygodna droga między grobami. Odległość zmniejszała się z błyskawiczną szybkością. Przyjaciele znaleźli się po chwili o kilka kroków od upragnionego celu. W świetle latarki ujrzeli dwa poruszające się cienie.

Nagle obaj znieruchomieli, jakby zahypnotyzowani.

Z ust bandytów wyrwał się bowiem ryk dzikiej radości.

— Odkryli skarb! — zaklął detektyw. — Prędko, Tomie, prędko! Musimy ich dogonić.

Zarośli wynurzyły się tymczasem cztery ciemne postacie.

— Hola, łobuzy! — krzyknął ktoś głosem, który mógłby obudzić zmarłych. — Nareszcie dostaliście się do nasze rece.

Potężne ciosy rozłożyły naszych przyjaciół na ziemi.

— Zostawcie nas — jęknął Tom. — Ci, których szukacie, uciekają!...

Odpowiedział mu drwiący śmiech.

— Nas nie oszukasz, łotrze! Hallo towarzysze, podajcie latarnię, zobaczymy, jak wygląda nasza zdobycz!

— Boże miłościwy, Mr. Dickson!...

— A bodaj was wszyscy diabli! — ryknął detektyw. — O kilka kroków od was złodzieje rozbijają pomnik, a wy rzucacie się na nas i pozwalacie tamtym zbiec! Ruszcie za tym światemkiem, może zdołacie coś uratować!

Policjanci nie kazali sobie dwa razy powtarzać i pobiegli we wskazanym kierunku.

Tom Wills chciał im towarzyszyć, ale Harry Dickson zatrzymał go.

— Ci idioci tak głośno wymienili moje nazwisko, że tamci musieli je usłyszeć. Dlatego umieścili tę latarkę, aby ją z odległości stu metrów można było zobaczyć!

— Przypuszczasz mistrzu, że to pułapka?

— Najprawdopodobniej. Łatwo tam oberwać kulkę w łeb.

W tej samej chwili z krzaków w pobliżu światła wystrzelił płomień. Rozległ się równocześnie huk strzału.

Odpowiedział mu przeraźliwy krzyk.

— Ta kula przeznaczona była dla mnie. Bandyci nie życzą sobie, abym zajmował się interesami Zairy.

— Jeden z policjantów został raniony w ramię! — oznajmił Tom.

— Doskonale, na przyszłość przestaną mi przeszkadzać! — zawołał detektyw i podpełził do krzaków skąd przed chwilą strzelano.

Nie znalazł nikogo, złoczyńcy zbiegli.

Detektyw podszedł do zniszczonego pomnika i uważnie obejrzał jego podstawę.

— Spójrz, Tomie, tu było miejsce na skrzynkę! Co do tego nie można mieć najmniejszych wątpliwości. Tutaj był ukryty skarb handlarza niewolników.

— Co teraz zrobimy? — zapytał zrozpaczony Tom. — Czy będziemy ścigać tych bandytów?

— Nie, mój chłopcze, dziś nic więcej nie uda się nam zrobić. W takich ciemnościach łatwo może się nam coś oberwać. Na razie musimy się pogodzić z tym, że skarb wymknął nam się z rąk!

★

Mortlake jest dzielnicą podmiejską i ondynu, zamieszkałą wyłącznie przez Murzynów. Chronią się tutaj przybysze z dalekiej Afryki, czarni marynarze z Ameryki i tragarze portowi.

Wieczorem dzielnica ożywia się. Ludzie pracujący ciężko w ciągu dnia, przybywają tutaj, aby przeżyć w knajpie z kompanami zarobione grosze. Ze wszystkich stron dobiegają tęskne pieśni i wesole, hałaśliwe dźwięki murzyńskich orkiestr.

Do jednego z najbardziej uczeszczanych w tej okolicy lokali weszła para muzyków. On wysoki mężczyzna w zniszczonym kapeluszu i ze skrzypcami pod pachą, ona zaś, w jaskrawej kraciastej sukni w kapeluszu z lasem piór i całym ogrodem kwiatów na głowie.

— Panowie i panie — odezwał się przybyły, — proszę o chwilę uwagi dla wuja Toma i jego siostrzenicy Jenny!

Powtórnie przybyszów z niekłamany entuzjazmem.

— Trzy razy: „niech żyje!“ — krzyknął jakiś pijany Murzyn.

Odpowiedział mu powszechny ryk zachwolenia.

— Co chcieliby usłyszeć szanowni państwo? Przyjeżdżamy wprost z Ameryki!

— Amerykańskie piosenki! — krzyknął tłum rozbawionych Murzynów.

— Doskonale... piękne panie i szlachetni panowie. Moja siostrzenica Jenny, była gwiazdą opery w San Francisco, odśpiewa wam swoje kuplety.

— Zdrowie Jenny!

Śpiewaczka przyjęła hołd z uśmiechem i wychyliła podany kieliszek ginu.

Wuj Tom ujął skrzypce i zagrał piękną murzyńską melodię, która tak się podobała, że audytorium podjęło ją chórem.

— A teraz uwaga, zaśpiewa Jenny!

Dzika, tęskna pieśń wprawiło otoczenie w zachwyt. Śpiewaczka wykonała jeszcze dziwaczny, egzotyczny taniec.

Zdyszana opadła w końcu na krzesło, które otoczył tłum adoratorów.

Tymczasem grajek zabawiał gości muzyką i zdawał się nie troszczyć o siostrzenicę, która pozwalała sobie na dość swobodne zachowanie. Młodzi Murzyni bez żenady obejmowali jej kibić i całowali pyzate policzki.

W pewnej chwili jeden z nich zbliżył się do niej i uściskawszy usiłował pocałować w usta. Murzynka wymierzyła mu jednak tak potężny cios w zęby, że momentalnie zwałił się na ziemię.

Wuj Tom wydobywał coraz to piękniejsze dźwięki ze swych magicznych skrzypiec.

Nagle ostry dysonans wydobył się spod smyczka i skrzypek przestał grać.

— Panie i panowie, dziękuję wam serdecznie za uwagę z jaką raczyliście mnie wysłuchać.

Murzyni naszykowali już drobne monety, aby obdarzyć nimi grajka, ale ten nie obejrzawszy się, wyszedł razem z siostrzenicą.

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. W pewnym momencie wuj Tom, rozejrzawszy się dookoła, zwrócił się do swej siostrzenicy:

— Czegoś się dowiedział, Tomie?

— To wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć, mistrzu!

— Wiesz gdzie mieszka Maori?

— Tak jest, mistrzu. Jego dom znajduje się w tej dzielnicy na odosobnionej drodze Leitershire.

— A czy go tam znajdziemy, dzisiaj?

— Nie wiem... nie widziano go już od dwóch dni. Jego białego współnika nikt tu nie zna. Widocznie mieszka gdzie indziej.

— A Zaira?

— Jej tutaj nie widziano, widocznie Maori do brze ją ukrył.

Harry Dickson wzruszył ramionami.

— Bóg raczy wiedzieć co się kryje w takiej czarnej duszy — pomyślał.

Jack Brown

— Mam wrażenie, że jesteśmy na dobrej drodze.

— Zgadzam się, mój mały. Tam w dali widzę odosobniony dom. To na pewno kryjówka Murzyna. Ciekaw jestem, czy się tam znajduje... W tym wypadku zagramy znów rolę czarnych i zobaczymy co będzie dalej.

Tom Wills zacisnął zęby.

— Nie wrócę do domu bez Zairy! Mogłbym zabić własnymi rękami tych łajdaków.

— Miej trochę cierpliwości, Tom! Zrozum, z jakim przeciwnikiem walcymy.

Po chwili obaj detektywi znaleźli się przed budynkiem. Miał on wygląd opuszczony i zapadał się w gruzy. Drzwi i okna były zamknięte. Nic nie zdradzało śladu czyjejkolwiek obecności.

— Zagramy im, — szepnął detektyw. — Może muzyka ich zwabi.

Melodyjne i tęskne dźwięki, którym żadne murzyńskie serce się nie oprze, tym razem nie wywarły żadnego wrażenia.

Ani jedno okno nie zostało otwarte, żadna twarz nie ukazała się za szybami.

— Szkoda czasu! — mruknął Dickson. — Moje przewidywania okazały się słuszne. Maori i jego współnicy zwiali razem ze skarbem.

— A co się stało z Zairą?

+ Prawdopodobnie zabrali ją ze sobą.

Harry Dickson raz jeszcze obrzucił uważnym spojrzeniem fasadę domu. Nic... cisza i mrok.

— Chciałbym obejrzeć sobie wewnątrz — zaproponował Tom.

— Doskonale, chłopcze... Może znajdziemy jakąś wskazówkę, która naprowadzi nas na trop.

Harry Dickson otworzył bez trudu drzwi w trychem. Bezszelестnie przebiegli przez pusty hall i dostali się na pierwsze piętro.

Detektyw pchnął pierwsze lepsze drzwi i zaświecił latarkę elektryczną. Ujrzał nędznie umeblowany pokój, w którym panował niesłychany nieład. Stosy rupieci, papierów i starych ubrań wypełniały również wewnątrz sąsiedniego pokoju.

— Uciekli! — rzekł Harry Dickson.

— Zaira była tutaj, — zawołał ze smutkiem

Tom. — Oto grzebień, który widziałem w jej włosach!

— Gdyby tak odgadnąć dokąd wyjechali! Mieli diabelskie szczęście. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu byli na cmentarzu. Musieli wyjechać rano... Najbliższym krajem jest Francja. Nie jest wykluczone, że tam schronili się ze swoim skarbem.

Poszukiwania na wyższych piętrach również nie dały żadnego rezultatu.

— Zostały tylko piwnice! — oznajmił Tom.

— A więc chodźmy tam. Będziemy mieli czyste sumienie, że niczego nie zaniedbałszy.

Kiedy znaleźli się na schodach piwnicznych, dobiegł ich jakiś dziwny odgłos. Z przerażeniem zatrzymali się.

— Co to jest? — zdławionym głosem wyszeptał Tom.

— Przypomina to ludzkie jęki, — odparł Dickson. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Musi tu być człowiek, który potrzebuje naszej pomocy.

Mówiąc to podniósł w górę latarkę i odważnie posunął się w stronę, skąd dobiegały odgłosy.

— Jest! — krzyknął Wills wskazując jakiś przedmiot w kącie.

Obaj detektywi pobiegli w tym kierunku.

— Przecież to jest ten fałszywy policjant, który zabrał mi Zairę w Scotland Yardzie! — krzyknął zdumiony młodzieniec.

Na ziemi leżał skrepowany człowiek z kneblem w ustach. Szyję jego otaczała gruba pętla z solidnego sznura, którego drugi koniec uwiązany był do belki na suficie. Każdy nieostrożny ruch więźnia mógł spowodować uduszenie.

Harry Dickson poprzecinał więzy i uwolnił nieszczęśliwego, który musiał przejść straszliwe tortury na mokrych, kamiennych płytach.

Z trudnością oddychał.

— Wody! — Szybko Tom! — Mam jeszcze trochę koniaku przy sobie. Musimy przywrócić tego człowieka do życia. On jeden może nam udzielić wyjaśnień o Maorim!

Tom przedził jak wicher. Po sekundzie był już z powrotem z dzbankiem wody.

— Pomóż mi go podnieść, spróbuję mu wlać kilka kropel.

Więzień nie reagował na nic. Harry Dickson zastosował sztuczne oddychanie.

— Trzeba go zanieść na łóżko. Odpocznie i może odzyska przytomność.

Przyjaciele z trudem zawlekli ciężar po schodach na górę.

— Słuchaj, Tom, musisz teraz wrócić do domu i zapakować nasze walizy.

Polóż się spać, to jest konieczne. Przed jutrzejszym rankiem i tak nic się nie da przedsięwziąć. Ten człowiek zasnął głęboko i nic z niego nie da się teraz wyciągnąć.

— A pan, mistrzu?

Harry Dickson wskazał palcem krzesło obok łóżka.

— Spróbuję się przespać... Nic mi nie grozi. Maori jest daleko, a ten chory nie może nawet palcem ruszyć.

Tom Wills wyszedł na ulicę marząc o tym aby złapać jeszcze jakiś autobus do śródmieścia. Miał szczęście. Nim doszedł do rogu, wynurzył się z przeciwnicy sapiący wóz.

Tak, jak to detektyw przewidział, chory odzyskał przytomność dopiero następnego ranka.

Z trudem uniósł głowę i rozejrzył się Jokofa.
— Mr. Dickson! — wyszeptał zdumiony, nie wierząc własnym oczom.

— Czy pan się już dobrze czuje? — zapytał detektyw.

— Trochę lepiej. Czy to pan mnie uratował?

— Musiałem się zrewanżować za uprowadzenie Zairy.

Twarz chorego spochmurniała.

— Nie mogłem postąpić inaczej. Znajdowałem się całkowicie we władzy Murzyna.

— Znaleźliście skarb owej nocy na cmentarzu Westminster'skim?

Falszywy policjant wahał się chwilę.

— Tak! — rzekł wreszcie. — Ale niech to wszyscy diabli!

— A więc Maori uciekł ze zdobyczą?

Chory zgrzytnął zębami ze złości.

— Ale zapłaci mi za to! Jakem... Czy pan mnie zna, Mr. Dickson?

— Oczywiście. Pan jest słynny Jack Brown, zwany z racji swego umiłowania do butelki „Moczygeba”.

— Zgadza się. Wiem, że szuka pan Murzyna i dziewczyny. Czy chce pan mnie wziąć do spółki? Ubijmy ten interes razem!

— Nie mówię, nie... Ale chcę wiedzieć, jakiej nagrody pan żąda?

— Ja wezmę Maoriego, a panu zostawię tę małą. Jeżeli odnajdzie pan skarb, da mi pan co łaska. Czy nie ma pan chociaż kropli whisky? Umieram z pragnienia.

Harry Dickson zmieszał trochę koniaku z wodą.

— Dziękuję panu stokrotnie. To mnie trochę pokrzepiło. To dziwne... kiedy myślałem o ocaleniu, nie przypuszczałem aby mogło przyjść z pańskiej strony. Ale postaram się odwdziżyć. Czy chce pan się czegoś dowiedzieć ode mnie?

— Dlaczego Murzyn nie zabił pana, mimo, że chciał usunąć go z drogi?

— Ten czarny jest bardzo przesadny. Bezpośrednio nigdy nie zabija. Staremu Firmontowi na przykład, podarował zatrutą strzałę, którą tamten przez nieostrożność się zranił. Mnie zaś związał i zostawił w takiej sytuacji, że groziła mi niechybna śmierć.

— A gdzie on się teraz znajduje?

— W Paryżu.

— Zapewne chce sprzedać klejnoty?

— Nie... jeszcze nie. Wie on doskonale, że pan go śledzi i że policja paryska zostanie uprzedzona. Będzie przeto czekać na odpowiedniejszy moment. Na razie schowa je w pewnym miejscu. Czy słyszał pan o katakumbach, w których przed wiekami grzebano zmarłych?

— Owszem, wiem, że znajduje się w Paryżu taki podziemny labirynt. Ale wejścia wszystkie już dawno zamurowano.

Moczygeba uśmiechnął się drwiąco.

— Tak myślą policjanci. Ale ja wiem, że istnieje jeszcze dwa wejścia.

— Muszę przyznać, że rzadko bywam w Paryżu i źle orientuję się w złodziejskich kryjówkach.

— Jedno wejście znajduje się w szczerym polu za miastem — ciągnął Brown. — Jest to przepaść głębokości dwudziestu, czy trzydziestu metrów. Dostać się można do wnętrza za pomocą sznura, który uwiazuje się do balustrady z grubego, mocnego drze-

wa. Rzadko kto odważy się tamtędy przedostać...

Przedewzięcie jest karkołomne.

— A drugie wejście?...

Jack zawahał się.

— Trudno... postanowiłem zemścić się na Maorim więc muszę być z panem szczerzy. Otóż drugie wejście znajduje się w karczmie „Pod krwawym apaszem”. W piwnicach jest tajemne przejście.

— A co zrobił ten lotr z Zairą?

Brown nachylił się do ucha detektywa i rzekł:

— Dziewczyna jest bardzo ładna... W Paryżu można dostać za nią niezłą cenę.

— Do krośset tysięcy diabłów! Co za potwór w ludzkim ciele. Musimy ją ratować. Kiedy możesz jechać, Jack?

— Ja? Jeżeli dostanę porządną porcję wódki, to choćby natychmiast.

— Zrobione. Cel uświęca środki! Wyśpij się trochę, dopóki nie zjawi się tutaj mój przyjaciel z bagażem.

— Doskonale, sir!

Jack Brown odwrócił się do ściany i zasnął spokojnie.

Szlakiem białych niewolnic

Na ulicy Antoinette w Paryżu w bogato umeblowanym salonie spacerował z niecierpliwością wysoki mężczyzna o wyglądzie pocziwego mieszczucha, w szlafroku i monologował:

— Interesy idą bardzo kiepsko. Mam dom pełen towaru i nie mogę go w żaden sposób ulokować na prowincji. Policja depcze mi po piętach...

Przy drzwiach opatrzonych tabliczką „Juliusz Lamarque, profesor śpiewu” rozległ się dzwonek.

— O Boże, kto to może być? Czyżby już policja?...

Ale nie było czasu do namysłu. Przybysz znajdował się już w pokoju.

— Z kim mam przyjemność? — zapytał profesor.

— Jestem markiz Montrosa.

— Czuję się ogromnie zaszczycony. Czemu zawdzięczam szczęście poznania pana?

— Czy nie przypomina pan sobie, że kiedyś poznaliśmy się już w kawiarni Royal przez ambasadora Turcji?

— Tak... to jest... byłem kiedyś w stosunkach handlowych z tym panem... Ale co sprowadza markiza do mnie?

— A więc, panie profesorze, czy może mi pan znaleźć odpowiednią towarzyszkę?

Profesor cofnął się o krok i przyglądał się nieufnie gościowi.

— Co też pan mówi?... Za kogo pan mnie bierze! — zawołał z oburzeniem.

— Za tak zwanego, profesora Lamarque.

— Cóż to ma znaczyć, margrabio? Czy nie wie pan, że rczwijam młode dusze i talenty, że pomagam im w zrobieniu kariery...

— ...I które wysyła pan, jako żywy towar, pod pretekstem tournée, za granicę!

Falszywy śpiewak zbłądł, jak płótno. Ręce mu zdrząły, wargi zatrzesły się... Automatycznie rozluźnił krawał, jakby się dusił.

Margrabia ze złośliwą radością przyglądał się przerażonemu profesorowi.

— Uspokój się, stary przyjacielu... Nic ci nie grozi z mojej strony.

— Czym mogę zatem panu służyć, margrabio?
— Chciałbym coś nowego, niezwykłego... Jestem nieco zblazowany... Mogłaby to być Murzynka albo niepełnie Murzynka... Czy mógłby mi pan dostarczyć?

— Hm... — szepnął zamyślony profesor. — Dopiero wczoraj zrobiono mi tego rodzaju propozycję... Odrzuciłem ją, ale mam adres tej osoby.

— Proszę mi o niej opowiedzieć — zawołał żywo zainteresowany margrabia.

— Jest to Mulatka nieprzeciętnej urody o gorącym temperamencie południowej rasy. Jest bardzo droga.

Montrosa zastanawiał się przez chwilę.

— Zgadza się na tę Mulatkę. Cena jest mi obojętna. Kiedy będę mógł ją ujrzeć?

— Proszę przyjść jutro wieczorem. Będzie czekał na pana razem z dziewczyną.

— Doskonale. Polegam na panu, drogi profesorze.

Elegancki gentleman wyszedł na ulicę. Był pewien, że Lamarque śledzi go przez okno, to też, nie spiesząc się, przywołał pierwszą z brzegu taksówkę.

W tej samej chwili ujrzał go ktoś znajdujący się na drugiej stronie ulicy. Zdumiony i przerażony cofnął się do bramy.

— Do licha! — mruknął przez zaciśnięte zęby. „Moczygęba“ miał rację. On mnie śledzi w dalszym ciągu i domyślił się, że chcę kupić Zairę Szczygę, że go zobaczyłem!

Harry Dickson, gdyż to on był eleganckim margrabią znikł już za rogiem.

— Czy Jack wyszedł — zapytał Toma Willsa po powrocie do hotelu!

— Tak jest, mistrzu. Od samego rana biega po dzielnicy, w której mieszka Maori.

— Trzeba przyznać, że oddał nam nieocenione przysługi. Bez niego nie wpadlibyśmy na trop tego fałszywego profesora.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł wzburzony „Moczygęba“.

— Co się stało? — zapytał Harry Dickson.

— Dobrze, że pana znalazłem. Stanie się nie-szczęście, jeżeli nie zapobiegniemy zawczasu. Odkryłem nareszcie norę Murzyna. Zaira jest z nim razem. Śledzę go dziś cały dzień. Przed godziną wreszcie wyszedł z domu. Powłókłem się za nim. Okazało się, że skierował się do swego wspólnika, handlarza żywym towarem, Lamarque'a. W chwili, gdy dostał się do bramy, ujrzał pana!

— No więc cóż takiego? — zapytał zniecierpliwiony detektyw. — Czy poznał mnie?

— Ależ oczywiście, Mr. Dickson. Nasz plan na nic się nie zda! Maori nie wyda Zairy, gdyż będzie się obawiał podstępów z naszej strony.

— A co się stało potem? — zapytał Tom.

— Maori spacerował tam i z powrotem jakby usiłował powziąć postanowienie, następnie zawrócił i poszedł do domu.

— Przypuszcza pan przeto, że Murzyn knuje coś przeciwko dziewczynie?

— Z całą pewnością. Ta mała przeszkadza mu teraz.

— Powiedział pan przecież, że Maori jest zabobonny i nie popełni zbrodni — zauważył Willis.

— To też sam jej nie zabije... ale będzie chciał pozbyć się jej w inny sposób.

— Jaki jest adres tego czarnego lajdaka? — zapytał Harry Dickson.

— Ulica Montebello 12.

— Zostańcie w domu, a ja sam dziś się nim zajmę!

Detektyw zrozumiał, że ocalenie dziewczęcia zależy od jego natychmiastowej interwencji. Ale w jaki sposób wyrwać biedną Zairę z rąk niegodziwca?

Znalazł się na ulicy Montebello, snując po drodze najfantastyczniejsze plany. Nagle zadrżał. Z domu Nr. 12 wyszła jakaś para. Murzyn i młoda, chwilią się na nogach, dziewczyna.

— To on! — szepnął do siebie detektyw. — Maori i Zaira. Ale dlaczego ta mała się zatacza?... Murzyn zapewne ją upił, aby pozbawić przytomności.

Maori szedł szybko naprzód, ciągnąc za sobą Mulatkę.

— Dokąd oni idą? Harry Dickson odgadł nagle: do Jardin des Plantes.

Zaczynało się ściemniać. Detektyw z trudem przeciskał się przez tłum. Nagle zbladł. Maori ciągnął dziewczynkę w stronę zwierzyńca! W kącie ogrodu za szerokim rowem znajdowało się ogrodzenie przeznaczone dla niedźwiedzi polarnych. Harry Dickson zauważył, że śledzona przez niego para zniknęła właśnie w tamtej okolicy.

Detektywem wstrząsnął dreszcz grozy. Przechywał bowiem jaki koniec gotuje Maori biednej Zairy.

Tymczasem zapadła noc.

Nagle detektyw usłyszał obok siebie czyjeś szybkie oddalające się kroki. Ktoś uciekał do wyjścia...

— Maori wraca sam! — pomyślał Dickson. — Gdzie jest Zaira?

Detektyw jednym skokiem znalazł się przed ogrodzeniem, za którym znajdowały się bestie.

Nagle,omal nie krzyknął z przerażenia. Na kamiennych płytach, tuż przed klatką, leżała głęboko uśpiona dziewczyna. Lada chwila mogła być rozszarpana przez drapieżników.

Harry Dickson podbiegł ku niej, pochwycił w ramiona i uniósł.

Uratowana!!!

W tej samej chwili przyszła mu do głowy nowa myśl!

— Murzyn czeka z pewnością na rezultat swego niecznego czynu. Wprowadzę go w błąd!

Schwycił wielki kamień i z rozmachem cisnął w wynurzającą się z mroku białą sylwetkę. Niedźwiedź przeraźliwie ryknął. Jednocześnie rozległ się ostry i przenikliwy krzyk detektywa.

Z dala dobiegł odgłos oddalających się kroków. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Maori odszedł, sądząc, że Zaira zginęła.

— Biedna mała! — mruknął detektyw, patrząc ze współczuciem na uśpioną dziewczynę.

— Oboje mamy poważny rachunek do uregulowania.

W katakumbach

W okolicy podmiejskiej Paryża błąkał się samotny mężczyzna.

— Do licha! — mruknął. — Zdaje się, że zgubiłem! Miał tu być jakiś dom, a wcale go nie widzę. „Moczygęba“ tak się spił, z okazji ocalenia Zairy, że przed wpływem doby nie wyruszy, aby mnie odzyskać. Ale... cóż to takiego?

Do uszu spacerowicza dobiegł hałas; były to wyraźne odgłosy bójki.

— Na pomoc! Na pomoc! — krzyczał ktoś, ile sił starczyło.

Harry Dickson, gdyż on był właśnie owym spacerowiczem, pobiegł w kierunku wołania.

W mroku dojrzał walczących ze sobą dwóch mężczyzn. W rękę jednego błysnęła stal i... za sekundę miał spaść cios.

— Puść natychmiast tego człowieka! — wrzasnęła detektyw.

— Wynoś się do wszystkich diabłów! — ryknął w odpowiedzi rozwścieczony napastnik.

— Ratusz mnie! — jęczał drugi. — Ten drań zabije mnie!

Harry Dickson z błyskawiczną szybkością wymierzył przeciwnikowi cios w szczękę. Padł jak rążony piorunem.

Ocalały chłopiec z trudem podniósł się z ziemi. — Było ich przedtem pięciu... Gdyby nie pan, zgniłbym w tych katakumbach.

— Katakumby? — podchwycił żywo detektyw. — A gdzie znajduje się wejście do nich?

— Proszę niech pan spojrzy! Tu jest otwór głębokości trzydziestu metrów. Otacza go balustrada. Robert Costand, usiłował wepchnąć mnie do środka!

— Hm, — mruknął Harry Dickson. — Chciałbym bardzo zobaczyć, co się tam znajduje.

Chłopak spojrział na niego nieufnie.

— Czy pan nie jest czasem szpiegiem?

— Jestem malarzem... Przyjechałem z Anglii. Bawią mnie takie osobliwości. Dają mi natchnienie do pracy.

— Od razu widać, że pan nie tutejszy. Ale z oglądania katakumb nic nie będzie. Drzwi są zamurwane.

— Ale jest, zdaje się, inne wejście, z oberży?

— Do licha, skąd pan wie? — zdziwił się młodzieniec.

— Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi o tym.

— Hm, — zastanowił się chłopiec, — winienem panu wdzięczność. Ocalił mi pan życie. Powiem prawdę. Drugie wejście znajduje się w piwnicach karczmy „Pod krwawym apaszem“. Ale właściciel nie wpuści pana, gdyż uznaje on tylko swoich, znajomych klientów.

— W tym się kryje jakaś tajemnica.

— Czy słyszał pan kiedy o apaszach Paryża?

— Słyszałem. Jest to genialnie zorganizowana banda przestępców.

— Otóż to! Właściciel karczmy jest szefem tej bandy, która w katakumbach gromadzi swoje łupy. Nie radziłbym nikomu tam pójść.

— Dlaczego?

— Można się tam przede wszystkim bardzo łatwo zabłąkać. Drogi krzyżują się i wiją, jak w prawdziwym labiryncie. Stosy starych trumien, szkielety, rozsypane kości leżą tam wszędzie masami, utrudniając orientację. Niech pan zostawi ten pomysł. Jest zupełnie niemożliwy do wykonania.

Detektyw zastanawiał się przez chwilę. Rzecz istotnie nie była łatwa do przeprowadzenia. Ale okazja tego rodzaju mogła się już drugi raz nie nadarzyć.

— Jeżeli pomożesz dostać mi się do katakumb, dostaniesz trzysta franków, — zaproponował.

Chłopiec zawahał się, ale oczy jego zalsnęły chciwością.

— Dobrze, — rzekł po chwili. — Niech pan udaje mego kolegę.

Przed drzwiami karczmy młody apasz trzykrotnie gwizdnął.

Odpowiedział mu również gwizd a potem ozwał się ochryply głos:

— Kogo prowadzisz?

— Nowego przyjaciela, — oznajmił przybyły.

Harry Dickson znalazł się przed wielkim chłopcem o groźnym wyglądzie, którego czerwony nos świadczył o częstym obcowaniu z kieliszkiem.

— Przyjechałem z Anglii — oświadczył detektyw i chciałbym popracować z francuskimi braćmi, — dodał, widząc w izbie kilku kamratów.

— Alfonsie — zapytał szef, zwracając się do nowoprzybyłego, — odpowiadasz za niego?

— Całym moim życiem. On wydestał mnie z łap Roberta Costand. Wprowadzimy go jeszcze dziś wieczór do naszego grona.

Perspektywa obłania niezwyklej okazji ożywiła śpiące dotychczas towarzystwo.

— Doskonale! — odezwały się głosy. — Przyjmujemy go na nowego członka bandy „Krwawego apasza“.

Po chwili napełniły się wszystkie szklanki i rozpoczęła się pijatyka. Harry Dickson zauważył, że Alfons, który dawał mu przez cały czas dowody wdzięczności, rozmawia o czymś z żywieniem i naciśkiem z młodą kelnerką.

W pewnej chwili, gdy całe bractwo po wypiciu niesłychanej ilości alkoholu zaczęło drzemać, chłopak dał znak detektywowi.

— Czy trwa pan dalej w swoim zamiarze?

Zamiast odpowiedzi Dickson podał młodej kelnerce stufrankowy banknot.

— Niech pan tego zaniecha! — zawołała dziewczyna. — Zginie pan w tym labiryncie!

— Proszę się o mnie nie martwić. Pójdę tam bez względu na to, co się stanie.

Kelnerka jeszcze się wahała.

— Muszę panu powiedzieć, że tam jest już ktoś... Jeżeli wpadnie pan na tego Murzyna, pożegna się pan z życiem...

— Cóż to za jeden? — zapytał żywo zainteresowany detektyw.

— To jeden z apaszów, który przyjechał do nas z Anglii.

— To pewnie Maori! Znam go dobrze! Pracowaliśmy niegdyś razem.

— Widzę, że pan jest z „naszych“ — uspokoiła się dziewczyna. — Proszę, niech pan weźmie te dwie pomarańcze na drogę!

Alfons przeprowadził detektywa przez długi korytarz.

— Oto piwnica, — wskazał. — Wewnątrz z łatwością znajdzie pan zapadłe drzwi. Tamtędy można się przedostać do katakumb. A teraz życzę panu szczęścia... Ja muszę wracać na górę, aby nie zwrócić niczyjej uwagi.

Harry Dickson został sam. Z wielkim trudem podniósł pokrywę i, oświetlając sobie drogę małą latarką, ostrożnie zaczął schodzić po kamiennych stopniach.

Droga dłużyła się w nieskończoność. Grobowej ciszy nie zakłócał żaden szelest. Detektyw dostał się wreszcie do korytarza. Uszedłszy naprzód kilkanaście kroków, potknął się o jakiś przedmiot.

Światło latarki padło na ludzką czaszkę i porozrucane wszędzie, bielejące w mroku, kości.

Detektyw mimo swojej zimnej krwi zdrzął.

Ale nagle daleki odgłos, przypominający toczenie się wozu po kamieniach, odwrócił jego myśli w innym kierunku.

— Cóż to takiego? Czyżby zawałił się stos trumien? A może zamknęły się drzwi, prowadzące do labiryntu.

Odgłasy umilkły. Harry Dickson, nie namyślając się dłużej, zagłębił się w niekończące się korytarze, znacząc mury kredą, aby później łatwiej odnaleźć powrotną drogę.

W pewnej chwili zagroziły mu przejście stosy trumien. Podażył inną drogą zdając się na los szczęścia. Po jakimś czasie stracił jednak zupełnie orientację. Często na rozwidleniu dróg odnawiał swoje znaki czynione kredą, wracał, kołował i kręcił się w kółko.

Owładnęło nim nagle dziwne uczucie. Niepewność i trwoga z zadowoleniem, że zbliża się nieublagana ostateczna rozgrywka. Detektyw ujrzał wreszcie jakieś chybotające światelko.

— Maori, — szepnął — gasząc momentalnie latarkę. Musiał zatrzymać się, aby nabrać tchu.

Dalekie światło znieruchomiło. Murzyn musiał widocznie się zatrzymać.

Harry Dickson posuwał się naprzód z największą ostrożnością. W pewnej chwili ujrzał Murzyna klęczącego przed jedną z trumien, przyglądającego się z zachwytem lśniącym kamieniom, które trzymał w rękach.

— A więc tutaj ukrył skarb! — rzekł do siebie detektyw.

Nim Harry Dickson zdążył zastanowić się, co czynić, Maori zamknął trumnę, podniósł się z kolan, ujął latarnię i obrał sobie kierunek wprost na detektywa, który instynktownie się cofnął. I stała się rzecz straszna. Potracił bowiem stos trumien, które z hukiem spadły na ziemię.

Murzyn podniósł w górę latarkę. Nikle światło padło na twarz przeciwnika.

— Harry Dickson! — krzyknął dziko. — Więc aż tu przyszedłeś za mną! Będziesz słusznie ukarany. Umrzesz z głodu i pragnienia w tych katakumbach!

Rozległy się strzały... Strzelał Harry Dickson.

Ale Murzyn zdążył rzucić się na ziemię, zgasiwszy uprzednio latarkę.

Detektyw znieruchomiał, nie wiedząc co czynić. Z dala dobiegł go ironiczny śmiech.

— Ten lobuz nic mi nie zrobi, — pomyślał Dickson. — Zorientuję się łatwo w powrotnej drodze według znaków, które nakreśliłem kredą. A może zamknął drzwi, którymi się tutaj dostałem. Nie traćmy jednak nadziei „Moczygęba“ chyba już otrzeźwiał i zaczyna mnie szukać.

Dickson zbliżył się do miejsca, w którym Murzyn ukrył skarb, naznaczył je kredą i postanowił wracać. Ponieważ nie chciał zapalać lampy, musiał przedzierać się z największą ostrożnością wśród otaczających go ciemności. I znów stos trumien zagroził mu drogę.

Teraz muszę dostać się do korytarza na prawo, aż dostanę się do największego korytarza, który wiedzie wprost do wyjścia.

— Rzeczywiście, — pop rawej stronie znalazło się przejście. Detektyw zagłębił się w nie, szedł jakiś czas i dostał się do nowego korytarza. Zatrzymał się na skrzyżowaniu.

— Muszę zapalić lampkę i odszukać swoje znaki. Murzyn nie wie chyba, że się tu dostałem.

Oświecił ścianę i przyjrzał jej się uważnie.

— Był znak, ale ktoś go zatarał. Z pewnością Maori. Ten lotr poprzestawiał moje znaki, aby mnie zgubić. Reszta śladów była również zatarta i detektyw stracił orientację. Błądził długimi koryta-

— Co to znaczy? — zapytał murzyn wskazując

— Nie wydam się stąd o własnych siłach — zakonkludował. — Muszę czekać na pomoc Alfonsa, lub Jacka Browna. Zauważą chyba moją nieobecność. Schylił się i począł szukać na ziemi miejsca, na którym mógłby odpocząć. Namacał jakieś, twarde, drewniane przedmioty. Przy bliższym badaniu okazało się, że są to skrzynie, w których złodzieje chowali swoje łupy.

— Doskonale. Prześpię się, jak w prawdziwym łóżku — pomyślał detektyw. — Szczęście mi sprzyja, inaczej musiałbym się położyć na jakiejś trumnie. Bez widziadeł i marzeń detektyw zapadł w głębokosi sen.

Zemsta „Moczygęby“

Maori przedostał się w krótkim czasie do głównej sali oberży „Pod krwawym apaszem“. Lampa, powonająca pod sufitem, oświetlała śpiącą na ziemi gromadę.

— Wszyscy pijani! — mruknął. — Do kogo się zwrócić?

Jego nagle wejście obudziło jednak młodego Alfonsa.

— Co to znaczy? — zapytał murzyn wskazując na śpiących.

— To nowy „brat“ okupił swoje przyjęcie, — odparł chłopiec, ziewając.

— A gdzie on?

— Odszedł. Zapewno z kelnerką.

— Z Jeazette? Czy nie czasem do podziemi?

— Czy ja mogę wiedzieć! A czyś go tam spotkał?

— Owszem. I to po raz ostatni.

— Ależ to jest nasz człowiek, apasz, członek naszego groma! Ja za niego odpowiadam!

Murzyn roześmiał się i obrzucił chłopca drwiącym spojrzeniem.

— Czy wiesz kogoś wprowadzić do naszego stowarzyszenia?

Chłopiec zawahał.

— Czy to ktoś z policji?

— Słyszalesz o słynnym detektywie, postrachu wszystkich przestępców w Anglii?

— Do diabła! To chyba nie był sławny Harry Dickson?

— On sam! — zarechotał Maori.

Alfons zdrętwiał z przerażenia. Za wprowadzenie tego człowieka groziła mu śmierć!

— Czy on żyje! — zapytał.

— Na razie — tak. Ale to nie potrwa długo. Nie wydam się z tej matni, gdyż pozacierałem wszystkie znaki, któreby mu umożliwiły powrót. Zginie z głodu i pragnienia.

Apasz odetchnął z ulgą.

— Gdyby miał szczęście, — dodał Maori, — może znalazłby drugie wyjście. Ale my musimy czekać i w razie potrzeby postać mu kulke w łeb. Już dziś byłbym z nim skończył, gdybym miał przy sobie rewolwer. Pójdę do domu po broń, a ty tymczasem pilnuj wyjścia.

Wspólnicy pożegnali się.

Tymczasem Tom Wills niepokoił się w domu

o los mistrza. Niestety, miał związane ręce. Był na obcym terenie i jego zwierzchnik kazał mu strzec Zairy, jak oka w głowie. Mała spała dalej, odurzona narkotykiem. „Moczygęba” wyszedł. Miał swój plan, który chciał przeprowadzić. Sledził uważnie od wczesnego ranka dom na ulicy Montebello. Pilność jego została wreszcie nagrodzona. Na progu domu ukazał się bowiem Maori. Jack Brown nie spuszczał go z oka. Murzyn szedł pewnym krokiem naprzód, kierując się w stronę jednej z podmiejskich dzielnic Paryża.

— Idzie do karczmy „Pod krwawym apaszem”, — szepnął do siebie Brown.

Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł, że Maori skierował swe kroki w innym kierunku. Brown znał z dawnych jeszcze czasów tę okolicę, jak własną kieszeń.

— Aha, łobuz chce dotrzeć do drugiego wejścia do katakumb. Trzyma w ręku rewolwer. Kogo chce poczęstować?

Bezszelestnie kroczył w odległości kilku zaledwie metrów za zwierzyną, obserwując uważnie wszystkie jej ruchy.

Murzyn istotnie usadowił się u wejścia i zmęczony przeżyciami oraz bezsennością ostatniej nocy zaczął drzemać!

Po chwili głośne chrapanie świadczyło o tym, że Maori zapadł w głęboki sen.

Brown wy dostał się wówczas ze swojej kryjówki, wyciągnął z kieszeni długi, mocny rzemień, przypominający lasso i mocno związał nim nogi i ręce murzyna, drugi zaś koniec przywiązał do drewnianej poręczy ogrodzenia.

Sprawdził kilkakrotnie solidność więzów i zadowolony szatańsko.

— Teraz rozpocznie się taniec, — mruknął.

Rozejrzał się dokoła. Pustka. W okolicy nie ma żywej duszy.

— Maori! — krzyknął jak mógł najgłośniejszy — Harry Dickson jest tutaj!

Murzyn zerwał się jak oparzony. W tej samej chwili spostrzegł, że jest skrupowany. Na widok byłego kompana oczy wychodziły mu z orbit.

— Brown? — zapytał, sądząc, że widzi marę.

— Tak, to ja, twój przyjaciel Jack Brown, we własnej osobie.

W jaki... sposób... dostałeś się tutaj... — wyjął z trudem Maori, śmiertelnie przerażony.

— Mój przyjaciel Harry Dickson sprowadził mnie do Paryża. On uratował mi życie, odnalazłszy mnie w piwnicy domu na Mortlake.

Murzyna opanował na widok samego kolegi nieopamiętany strach.

— Czego chcecie ode mnie?

— Odpłacę ci się pięknym za nadobne! — wrzasnął Brown na wspomnienie przeżytej męki.

— Łaski! — jęknął murzyn, usiłując klęknąć.

— Łaski? — zadrwił „Moczygęba”. — A ty miałeś litość nademną, skazując mnie niedawno na śmierć?

— Naprawię zło, które ci uczyniłem!

— Chcesz mnie okłamać tak, jak mała Zaire? Muszę cię oświecić, że i ja uratował Harry Dickson. Nic ci nie pomoże. Zemsta jest rozkoszą bogów!...

Murzyn zadrżał. Zrozumiał, że grozi mu straszliwa, nieuchronna, śmierć.

— Czy wiesz, że znajdujesz się nad głęboką przepaścią. Wystarczy tylko pchnąć cię i rozwiązać węzeł tego rzentienia a spadniesz, w dół głąbo-

kości trzydziestu metrów.

Mówiąc to, Jack pogroził mu rewolwerem.

— Łaski! Łaski! Zrobię wszystko, czego zechcesz, — błagał murzyn.

— Powiedz mi wobec tego, gdzie ukryłeś skarb? Możesz wybierać: klejnoty, albo twoja skóra.

Maori głucho jęczał. Nie mógł się zdecydować, „Moczygęba” podniósł broń w górę.

— Gdzie jest kasetka?

— W podziemiach. Ale sam i tak jej nie znajdziesz. Pozwól mi iść z tobą, a przysięgam...

— Dostyć, idioto! — ryknął Jack. — Prędko mów, gdzie jest kasetka?

— Nie! — krzyknął murzyn. — Dowiesz się sekretu, a potem mnie zabijesz. Wolę w takim razie zabrać tajemnicę do grobu.

Brown jakby tylko na to czekał. Rzucił się na murzyna i z całej siły huknął go w pierś tak, że tamten stracił równowagę. Spadł w dół z przeraźliwym krzykiem. Ale rzemień trzymał mocno. Maori zawisł głową w dół nad przepaścią.

— A teraz, mój przyjacielu, czy zechcesz odpowiedzieć?

— Murzyn w dalszym ciągu jęczał.

— Masz jeszcze chwilę do namysłu. Jeżeli nie odpowiesz na moje pytanie, przetnę rzemień!

— Powiem wszystko — wyszeptał wreszcie.

— Tylko nie lżyj. Znam doskonale katakumby jak i ty.

— Powiem prawdę. Czy znasz długi korytarz który wiedzie wprost z pola apaszów?

— Tak jest?

— W trzeciej galerii na lewo, znajduje się moja kryjówka. Skarb znajdziesz w trumnie.

— Znam świetnie to miejsce. Czy to już wszystko? — zapytał „Moczygęba” tonem groźby.

Murzyn przez chwilę wahał się.

— Zabij mnie — prosił. — Nie wytrzymam dłużej, krew mnie dusi... Nie widzę nic...

— Kryjesz jeszcze coś przede mną, psie! Przyznaj się...

— Nie mam nic do wyznania... — wył Maori.

— A więc giń nędzniku! — krzyknął Brown przecinając rzemień. Jesteśmy skwitowani!

Rozległ się krzyk, ścinający krew w żyłach, a potem zapanowała śmiertelna cisza.

Przekleństwo handlarza

Harry Dickson obudził się skostniały. Dokuczał mu głód i pragnienie. Z rozkosza przypominał sobie o pomarańczach, którymi obdarowała go kelnerka. Zapalił latarkę i spojrzął na zegarek.

— Ósma godzina. Już rano. Spałem siedem godzin. Moja sytuacja nie jest godna radości, ale jednocześnie nie uważam jej za zupełnie bezna- dziejna.

Stłumił światło, aby nie zdradzić swej kryjówki.

— Muszę być ostrożny. Maori zapewne wyjaśnił wszystkim, kim jest nowo przyjęty „brat”. Za chwilę mogę tu mieć całą bandę! Gdybym miał busolę! — myślał, — mógłbym przynajmniej iść w pewnym określonym kierunku...

— To dziwne, że nie zjawia się ani Tom, ani „Moczygęba”. Że też nie zaniepokoił się moją tak długą nieobecnością!

Niestety... nikt nie nadchodzi. Mrok i cisza. Nawet apaszów nie widać... Po co zresztą miałiby

się zjawiać? Głód i pragnienie robią swoje bez ich udziału.

Nastawił uszu. Żadnych odgłosów. W świetle latarki rozpoczął poszukiwania. Sądził, że może co znajdzie, aby zaspokoić dotkliwy głód.

W skrzyniach znajdowały się pierścionki, złoto, klejnoty, drogie materie, ale nie do jedzenia.

Harry Dickson postanowił już zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy w tym zwróciło jego uwagę jakieś czworokątne pudełko.

— Figi! — krzyknął ucieszony. — Szczęście mi sprzyja. Mogę żyć cały dzień, odżywiając się nimi. Do licha! — zawołał. — Lampka zaczyna się wypalać. Zostanę w kompletnych ciemnościach. Nagle podskoczył.

— Cóż takiego? Światło w korytarzu?

Podniósł się z trudem i przylgnął do ściany.

— Człowiek z latarnią... Pójdę za nim...

Czyżby to było złudzenie? Detektywowi wydawało się, że postać, która wynurzyła się z cienia chwieje się na nogach.

Człowiek zatrzymał się i zaczął oświetlać trumny.

— To murzyn, — Przyszedł znów, aby napaść na swoje skarby!

Mężczyzna, którego detektyw wziął za murzy-
na, nachylił się nad jedną z trumien i krzyknął ra-
dośnie.

— Jest! Jest kasetka.

Harry Dickson przysunął się bezwiednie jeszcze o kilka kroków.

W tym rozległ się huk eksplozji. Kości, trumny i pył — wszystko zawirowało w powietrzu.

Harry Dickson poczuł w nozdrzach niebezpieczny zapach dwutlenku węgla.

— Uciekać! Uciekać co sił!

Nagle jakiś świeży powiew musnął jego twarz.

— Wyjście! Czy to możliwe?

Omiał nie oszalał z radości.

Na ścianie wisiała latarka. Oświetlała ona wnętrze piwnicy w karczmie „Pod krwawym apaszem“.

Chwiejąc się na nogach, osłabiony, ale zdrow i cały, szczęśliwy że żyje, detektyw przyśpieszał kroku.

Znalazł się wreszcie na świeżym powietrzu. W tej chwili z za rowu wysunął się jakiś człowiek, apasz zapewne i skoczył.

— Mistrzu!...

— Tomie! drogi chłopcze!

I padł prawie bez przytomności w ramiona przyjaciela.

Był szary brzask, kiedy dwaj przyjaciele zbliżyli się do miejsca, gdzie znajdowało się drugie wejście do katakumb.

— Tędy najłatwiej dostaniemy się do podziemi — rzekł Harry Dickson.

Według planu, który znalazł wczoraj, miejsce wybuchu musi znajdować się gdzieś blisko tego wejścia. Prawdopodobnie Maori naszykował w swojej kryjówce bombę dla nieprószonego intruza.

— Nie mogę zrozumieć, co się stało z „Moczygębą“, — rzekł Tom Wills.

— Zapewne sterczy koło domu murzyna. Opanowała go chęć zemsty...

Detektyw zbliżył się do balustrady

— Ta belka wydaje mi się dość solidna. Ja i patrz, czy ktoś nie nadchodzi.

zsunę się w dół po sznurze, a ty czekaj tu na mnie

— Mistrzu, pozwól mi zejść zamiast ciebie.

— Niemożliwe, mój drogi. Ja się już nieco orientuję w tym labiryncie. Poza tym jestem ciekaw, co się stało z Murzynem. Mam wrażenie, że nie zdołał uciec przed wybuchem.

Mówiąc to, przeskoczył zreżumnie przez balustradę i zaczął powoli zanurzać się w przepaść.

Na dole znalazł rozrzucone przez eksplozję, szczątki trumien i kości ludzkich. Bez trudu rozpoznał miejsce.

Nagle uwagę jego zwrócił jakiś długi, ciemny przedmiot, leżący na ziemi.

Detektyw zbliżył się z latarką i krzyknął ze zdumienia

Z kasetką pełną lśniących kamieni pod głową leżał nie Maori, ale... Jack Brown, ofiara własnej chciwości.

Odwróciwszy się, ujrzał obok zmiażdżone, zmasakrowane ciało murzyna.

Więzy na jego nogach i rękach pozwoliły detektywowi zrekonstruować sobie w wyobraźni cały dramat.

Harry Dickson nie namyślając się dłużej, przywiązał sobie kasetkę do pasa i wyostał się na powierzchnię ziemi.

Harry Dickson przyjął jako honorarium zaledwie małą część odnalezionego skarbu. Wielką część z tego co otrzymał, przeznaczył dla biednych Londynu.

Zaira, śliczna malatka, odziedziczyła zaś miłobowu majątek. Kupiła sobie wspaniałą willę na Lazurowym Brzegu, gdzie zamieszkała razem ze swym mężem, znanym francuskim artystą.

Harry Dickson często ją odwiedzał.

Koniec.

Następny **Nr. 17 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 3-go maja zawierać będzie przygodę p. t.

DUCH SWIATEŁA

CENA 10 GR.

CENA 10 GR

BN
WYDOWA



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebывałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Te bowiem znakomite jego zdolności pozwalają mu poruszać się bez obawy zdradzenia się zarówno wśród sfer arystokracji, jak i najniższych warstw społecznych, nawet tam, gdzie męty i szumowiny knują swe zbrodnicze plany.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 8. „KRÓL NOCY“ |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 9. „POSEPNA KABALA“ |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 12. „KAPIANKA OGNIĄ“ |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 14. ŻYJĄCY BUDDA |
| | 15. WIDMO TUŁACZA |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

10 gr.

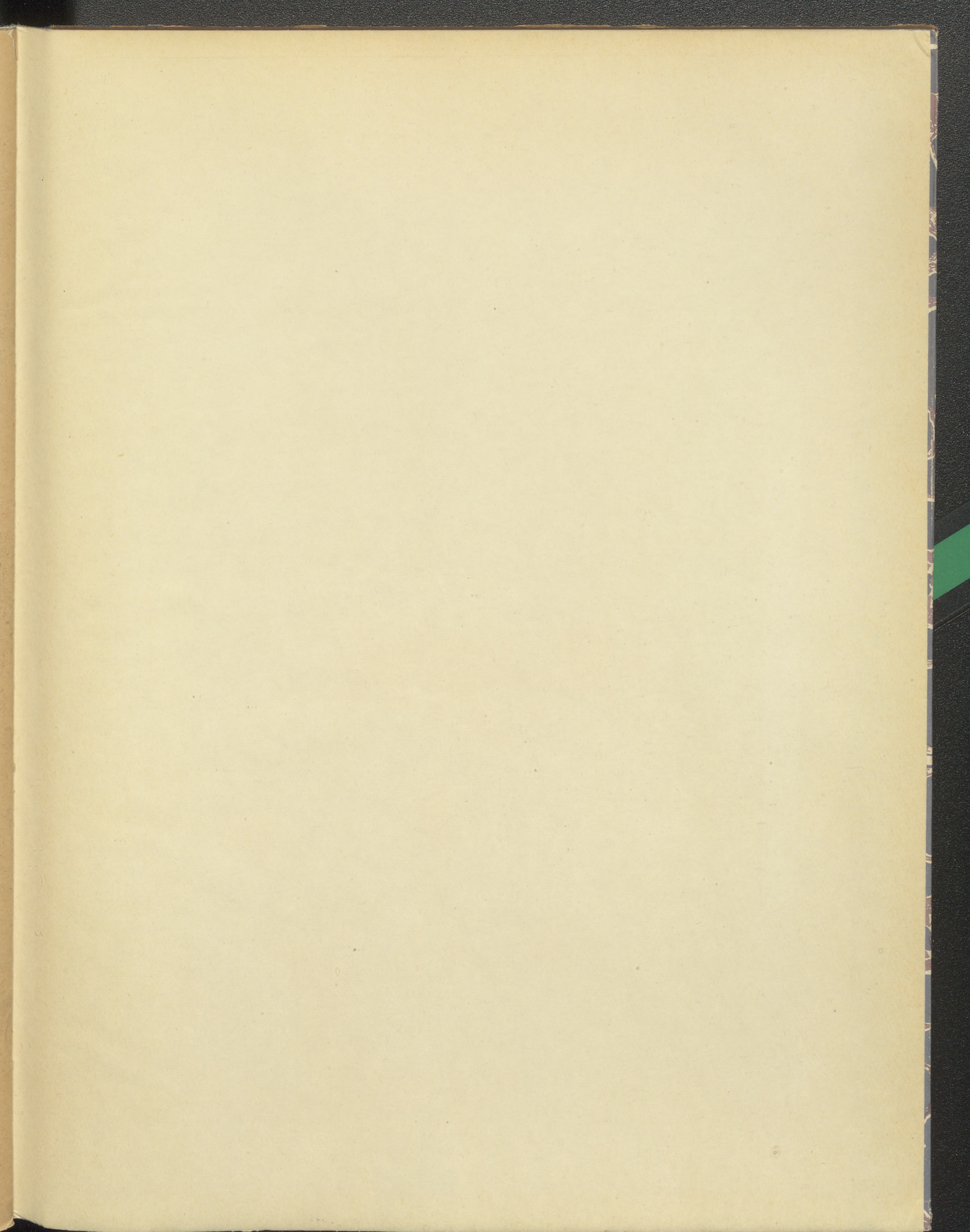
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

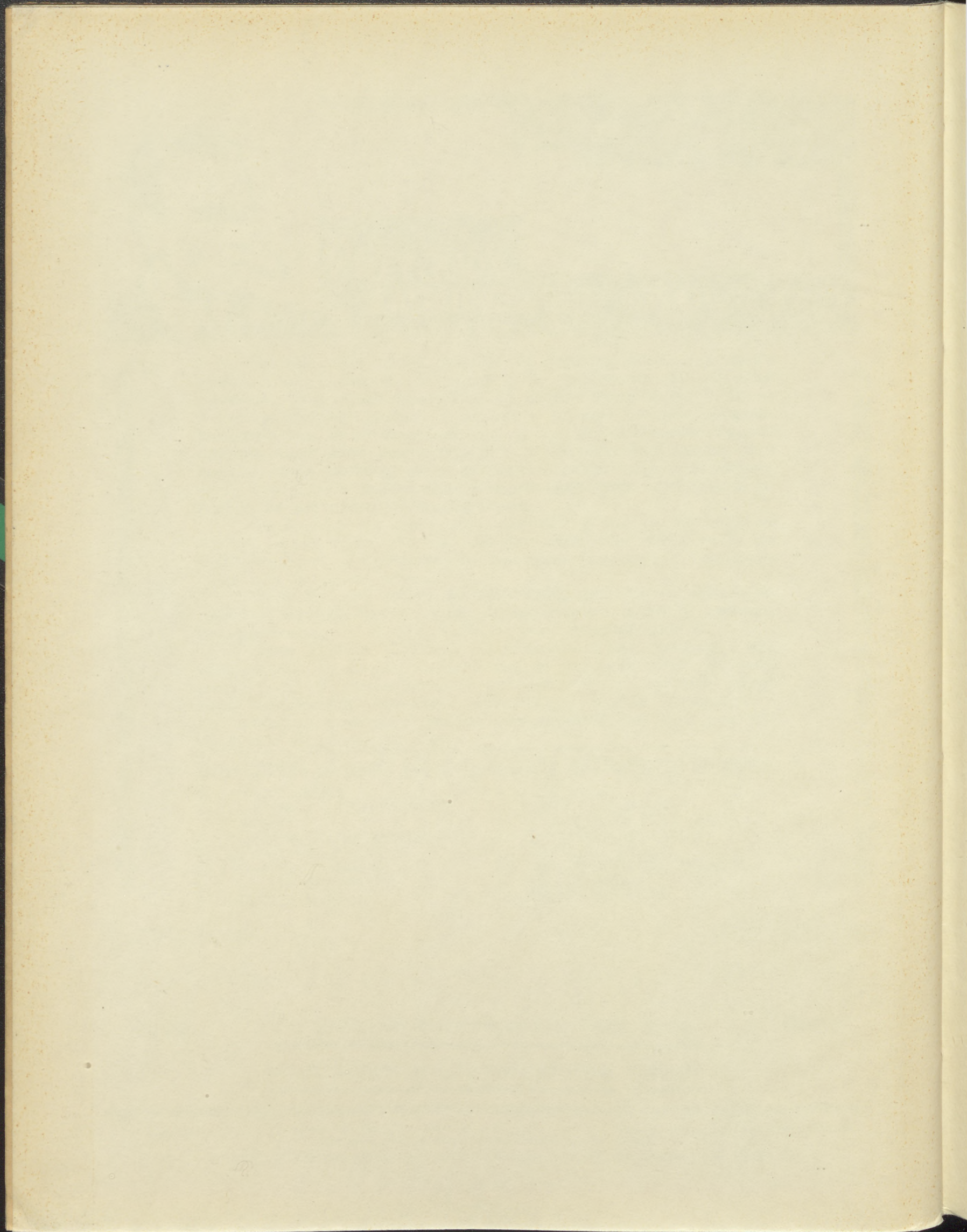
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68.148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 19, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

3957/88

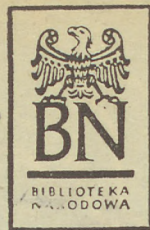




Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024365916



2df

623405

16

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN